tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 41 (1192) ROK XXIII 12 PAŹDZIERNIKA 1980 R. CENA 3 ZŁ

JERZY KATARASIŃSKI

W TYGLU

Dawno już, a może nawet — nigdy jeszcze — nie byliśmy w swej powojennej historii tak rozdyskutowani jak teraz. Dobrze to, czy źle? Dobrze, bo ludzie przestali milczeć, źle, bo nie zawsze, jak do tej pory, rozsądek zdobywa posłuch. Wrze jeszcze tygiel namiętności, w którym zmieszane są najwznioślejsze usiłowania i najbrudniejsze interesy, sprawy wielkie i małe sprawki, dążenia do sprawiedliwości i zwykła chęć do odegrania się, rozbrajająca szczerość i najzwyklejsza demagogia. Miesza w tym kotle dezinformacja. Gazet mało, więc nawet jak coś w nich jest, niewielkie nakłady kolportowane są stugębnie, nierzadko przypomina to w efekcie zabawę w głuchy telefon. Na bazarach nowość: teczki z wycinkami z gazet (á 300 zł...). I wreszcie pozaprasowy system informacyjny: powielaczowe, kserograficzne, czy po prostu maszynowe, odbitki rezolucji, oświadczeń, komunikatów. Jak je uwiarygodnić, zweryfikować, jak sprawdzić zgodność z oryginałem, ustrzec się przed prowokacją?

Pod koniec ubiegłego tygodnia głównym punktem debat rodaków była zapowiedź, a później — zrealizowanie — jednogodzinnego strajku ostrzegawczego. Pytania: — czy strajk był n i e z b ę d n y, czy rzeczywiście nie można było inaczej wyrazić swoich wątpliwości co do zakresu i tempa wprowadzania w życie porozumień. Pytania — przeciw czemu czy przeciw komu — był organizowany. I — szczątki odpowiedzi. Dziennikarze „Życia Warszawy" sondują w warszawskim „Polkolorze" opinie na ten temat: „W Polsce góra i dół się dogadały, jest tylko ten środek, który blokuje realizację porozumień"; „Strajkujemy po to, aby wyrazić solidarność z tymi robotnikami w kraju, którzy napotykają trudności w realizacji swoich postulatów i prawa do tworzenia niezależnych związków. Wiemy, że do niektórych ośrodków utrudniony jest nawet dopływ informacji o tym, co się dzieje w kraju."

Mimo tych motywacji, wątpliwości jednak pozostają. Czy stać nas w katastrofalnej sytuacji ekonomicznej na luksus strajku, skoro, jak dowiodły tego wydarzenia przełomu sierpnia i września, wszystko, co nie zagraża racji stanu, co jest związane z dobrem narodu, można po prostu wynegocjować? Czy nie jest to strzelanie z armaty po to tylko, aby posłuchać huku? Czy taka demonstracja jest w ogóle komukolwiek potrzebna? Czy po dalszych stratach wywołanych tym strajkiem nie będzie trudniej wprowadzać choćby podwyżek płac? Intencje działałyby wtedy przeciw intencjom... O co więc chodzi?

Wątpliwości te musiały być udziałem także MKZ NSZZ „Solidarność" w Gdańsku, samej góry związku, skoro (wynika to z informacji zawartej w referacie Biura Politycznego

Dalszy ciąg na str. 2

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

GWARANCJE SĄ W NASZYCH RĘKACH

Na początku chciałbym wyjaśnić, jak rozumiem używane obecnie powszechnie terminy. Na przykład dla mnie „od nowa" wcale nie znaczy „od początku", gdyż nie uważam, że wszystko, co do tej pory działo się w partii było złe. Ale trzeba też wyjaśnić, co rozumiemy pod słowem „partia". Bardzo często bowiem, kiedy mówiliśmy „partia", myśleliśmy „instancja partyjna", chociaż partię stanowią wszyscy jej członkowie i oni — to znaczy my wszyscy, członkowie partii — wybieraliśmy ze swego grona ludzi, którzy mieli w naszym imieniu kierować partią i oddziaływać na życie całego narodu. Czy funkcje kierownicze powierzaliśmy we właściwe ręce, to już inna sprawa.

Mam przed sobą relację z dyskusji na tematy pracy partyjnej, jaka ukazała się w „Trybunie Ludu" 23 września 1980 roku. O dyskusji tej Jan Lasoń, 38-letni ślusarz z Zakładów Sprzętu Sieciowego „Belos" w Bielsku-Białej powiedział:

— Dopuściliśmy do zaniku szczerej dyskusji. Szczerość powróciła dopiero przed VII Zjazdem. Powróciła na dołach, w robotniczych organizacjach partyjnych. No, ale nasze wnioski i postulaty zostały na papierze sprawozdań.

I jeszcze inny głos z tej dyskusji, głos Stanisława Korusiewicza, 31-letniego zbrojarza z Kombinatu Budownictwa Ogólnego „Beskid", w Bielsku-Białej:

— Nie może być tak, że zebranie partyjne praktycznie nie ma nic do gadania.

Bo wtedy rodzi się pytanie: kto jest dla kogo? Czy my, doły partyjne, dla instancji, dla kierownictwa partii, dla towarzyszy, których wybieramy do władz? Czy oni dla nas? Ja to widzę tak, że ani my dla nich, ani oni dla nas, że powinniśmy stanowić jedność. Ale ostatnio zerwała się nić wspólnoty władz partii i mas partyjnych.

Istotnie. Dzieliliśmy partię na „doły", które miały słuchać tego, co mówi „góra" i na „górę", która wszystko wie lepiej. A przecież wszyscy nosimy takie same legitymacje partyjne i obowiązuje nas ten sam statut. Jest to więc, taki podział na „górę" i na „doły", z gruntu fałszywy. Jeden mamy przecież cel na względzie i wszystkimi nami kieruje dobro narodu, któremu chcemy jak najlepiej służyć.

Jeden z moich rozmówców powiedział mi niedawno:

Dalszy ciąg na str. 3

Zebranie Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność" w Łodzi. Na zdjęciu od lewej W. Jakubczyk, J. Kościelski, Z. Sęk, A. Słowik i M. Borowicz.

Foto Z. Dominiak

BOGDA MADEJ

LUDZIE UCZĄ SIĘ DEMOKRACJI

W poniedziałek, 29 września 1980 roku w „Marchlewskim" mieli spotkać się ze sobą przedstawiciele starych i nowych związków zawodowych. Chciałam być na tym spotkaniu. Posłuchać, o czym dyskutują. Zadzwoniłam do Rady Zakładowej.

— *A skąd pani wie o zebraniu?* — usłyszałam w słuchawce telefonicznej.

— *My prasy nie zawiadamialiśmy.*

— Czy to ważne, skąd wiem? Wiem i już.

— *Może wie pani o tym z Zarządu Głównego?*

— Nie.

W końcu jakoś zgodzono się na moją obecność. Powiedziano mi, że zebranie rozpocznie się o godzinie 13.45. Odbędzie się w sali szkoleniowej bhp.

Na krótko przed 14 byłam już na miejscu. Przewodnicząca Rady Zakładowej, Lucyna Gruchała otworzyła obrady plenarne poszerzone o przedstawicieli Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność". Na obrady przybył też dyrektor naczelny ZPB im. J. Marchlewskiego — Mieczysław Krupa.

ZEBRANIE

Zaczęło się, jak na każdym zebraniu. Najpierw była informacja o uchwale Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego o usamodzielnieniu się związku. Później informacja o porozumieniu Związku Włókniarzy z Ministerstwem Przemysłu Lekkiego. A więc sprawy płac, socjalne, organizacji pracy, jak będą załatwiane postulaty załóg przemysłu lekkiego. I wreszcie sprawa najważniejsza, to, co mnie tu sprowadziło. Pytanie: — Co zebrani sądzą o jedności ruchu związkowego w „Marchlewskim"?

Mówiono już o tym na poprzednim plenarnym posiedzeniu Rady Zakładowej 9 września 1980 roku, ale jak widać do żadnych konkretnych postanowień nie doszło. Sprawa jest nadal otwarta.

Notuję niektóre poglądy.

— *Jeszcze za wcześnie rozsądzać, jaka część załogi opowie się za nowymi, a jaka za starymi związkami zawodowymi.*

— *Chcecie wiedzieć, dlaczego moje koleżanki idą do nowych związków? Dlaczego strajkowały? Bo stare związki nic nie robiły, nie broniły naszych interesów. Ja tu już długo pracuję i chcę pracować dalej. Nie chcę doczekać, aż mi ktoś powie, że już*

Dalszy ciąg na str. 5

TOMASZ SOLDENHOFF

PODSUMOWANIE MITU

Osiędle Politechniki Warszawskiej na tydzień przed inauguracją roku akademickiego. Wielkie okna klubu „Riviera-Remont" przyciągają grupy przechodniów: za szkłem sugestywny reportaż ze Stoczni Gdańskiej, obok zdjęć — studenckie listy postulatów, deklaracje, ulotki: z różnych stron kraju.

Czytam odbitą na kserografie deklarację Rady Socjalistycznego Związku Studentów Polskich z Wydziału Elektroniki PW. Działacze żądają stworzenia samorządnej reprezentacji wszystkich studentów, w kilkunastu punktach wyłuszczają jej cele. Zatrzymuję wzrok przy punkcie piątym, który mówi o „WPŁYWIE STUDENTÓW NA PROGRAMY i JAKOŚĆ PRAKTYK".

Wewnątrz klubu „Wolne Forum Dyskusyjne". Trwa spisywanie postulatów, rozmowy z działaczami. Kilkadziesiąt metrów dalej — w świetlicy domu studenckiego „Mikrus" — punkt informacyjny Niezależnego Związku Studentów, który — podobnie, jak w Gdańsku, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu — zawiązał się w stolicy.

Sprawy, która mnie tu sprowadziła, nie ma jednak na żadnej z wywieszonych list. Przedstawiciel nowego związku, dyżurujący przy stoliku, jest trochę zaskoczony:

— *Nie, postulatów w sprawie studenckich praktyk robotniczych dotąd nie mieliśmy. Ale niewykluczone, że wypłyną później, wśród spraw bardziej szczegółowych,* podkreślając „prywatność" swej opinii, dodaje: — *Sądzę, że studentom nie zaszkodzi popracować fizycznie... Byleby tylko nie trwało to cały rok, jak postulowano kiedyś w „Polityce".*

Teraz ja nie ukrywam zdziwienia. Z własnych niedawnych czasów studenckich pamiętam przecież zdecydowanie wrogi stosunek do obowiązku miesięcznej pracy fizycznej.

Pomysł robotniczej inicjacji nowo przyjmowanych na uczelnie studentów (z wyjątkiem wyższych szkół muzycznych) zrodził się u schyłku lat 60. Na pierwsze praktyki — zorganizowane przez ZMS, a nie uczelnie (na zasadach zbliżonych do dzisiejszych OHP) — pojechali studenci w roku 1969. Pracowali na oddalonych od dużych ośrodków i domów rodzinnych budowach, w gospodarstwach rolnych i leśnych.

Wracali krytykując panujący tam styl i organizację pracy, prymitywne nieraz warunki życia. Na wcześniejsze uprzedzenie do ciężkiej fizycznej pracy nałożyło się poczucie krzywdy, bezsensownie marnowanego czasu i nudy, która wypełniała wolne chwile. Gospodarze hufców rzadko gdzie traktowali studentów poważnie.

Wszystko to sprawiło, że w krótkim czasie narodził się zły mit robotniczych praktyk studenckich. Pod jego presją statystyki zwolnień pięły się w górę, by w roku 1976 osiągnąć — w skali kraju — rekordowe 25 procent. Studenci szukali wszelkich sposobów wykręcenia się od tego obowiązku, a głosy przekonujące o zbędności SPR powracały jak refren. Nie osłabiła ich Uchwała nr 24 Rady Ministrów z lutego 1972 roku, podjęta po trzech latach eksperymentów z praktykami, po reorganizacji ministerstw i kilku zmienianych co rok zarządzeniach. SPR nadano formę prawną, ale został mit, przekazywany przez rodziców i starszych kolegów coraz to nowym rocznikom studentów.

Po 1975 roku koncepcja praktyk doczekała się rozwinięcia. W tym roku w Łodzi — podobnie, jak w innych miastach — studenckich praktyk robotniczych dla osób z „roku zerowego" nie przerwano. Wzięło w nich udział w ciągu trzech letnich miesięcy ponad 3 tys. studentów.

Czy jednak znaczy to, że wątpliwości wygasły i że koncepcja SPR nie wymaga dyskusji i zmian, o ile oczywiście głosy domagające się ich likwidacji zaliczymy do przeszłości?

„INACZEJ SMAKUJE CHLEB..."

W jednostronnie ciemnych relacjach z praktyk zapominano często o argumentach za ich utrzymaniem. Ale też nie od razu uświadomiono sobie szerzej ekonomiczne ich znaczenie. Nie ulega natomiast wątpliwości, że inicjatorzy SPR — niezależnie od innych intencji — przewidzieli obraz polskiego rynku pracy w latach 70. Praktyki studenckie okazały się — przy lepszej organizacji — niezłym lekarstwem na skutki letniego wyludnienia miejsc pracy najniższej kadry pracowników.

W drugiej połowie lat 70 zakłady pracy zaczęły się nieomal bić o studentów. Okazało się, że przeszło 50 tys. dodatkowych par rąk w całym kraju, to kapitalny potencjał, siła naprawdę nie do pogardzenia. Swój największy egzamin obie strony, organizatorzy i studenci zdali jednak dopiero latem 1980 roku. Także w łódzkim przemyśle, budownictwie, a zwłaszcza handlu, przydała się każda para studenckich rąk.

Od pewnego czasu zresztą apetyty zakładów są większe, niż możliwości uczelni. Na długo przed wakacjami np. WSS „Społem" zapewniała Wydział Filologiczny UŁ, że jest w stanie wchłonąć wszystkich prak-

Dalszy ciąg na str. 8

Dalszy ciąg ze str. 1

na VI Plenum KC PZPR), strajk, mimo wcześniej podjętej decyzji, miał zostać w przeddzień odwołany przez organizatorów i z ich inicjatywy. Gotowy był już tekst komunikatu „Solidarności", a przedstawiciel MKZ NSZZ miał zarezerwowane miejsce w programie TV. Z możliwości tej nie skorzystał, do wystąpienia nie doszło, strajk się odbył. Powstały pytania kolejne: jakie nowe racje zadecydowały o przechyleniu szali na stronę strajku. Chciałoby się wiedzieć o tym więcej: ludziom troszczącym się o dobro kraju jest bowiem potrzebna wiedza o tym kto i dlaczego, jakich używając argumentów, decyduje na „nie", lub na „tak", podejmując działania mające wpływ na losy wszystkich współobywateli. Żąda się tego skądinąd od partii, ale przecież nie tylko partia powinna być adresatem tych żądań...

Jedna jednak sprawa to to — jak, jaką metodą rozwiązywać sporne kwestie powstające w trakcie realizowania porozumień, druga zaś, to sam fakt powstawania spornych kwestii: ich podłoże, przyczyny. Wróćmy zatem do opinii niektórych załóg robotniczych.

Przede wszystkim nie da się zaprzeczyć, że tu i ówdzie, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, ale przecież nie tylko w mniejszych, a także — w niektórych zakładach pracy — duch porozumień nie jest odczuwany zgodnie z intencją parafujących te porozumienia, a litera porozumień także nie jest odczytywana literalnie. Także i w Łodzi zdarzało się np., że sekretarze KZ w niektórych zakładach pracy informowali członków swoich organizacji, iż NSZZ nie są dla członków partii w ogóle, że takim, którzy wstępują do NSZZ, trzeba się dobrze przyglądać... Nie trzeba dodawać, że takie stanowisko od początku niezgodne było i z duchem porozumień i z linią partii. Gdzieniegdzie tworzono wokół NSZZ atmosferę półlegalności, a przynajmniej tymczasowości. Zjawiska takie w Łodzi wygasają, ale zdarzają się jeszcze i tu i w kraju, powodując niepotrzebne, ale kto wie, może i przez niektórych ludzi celowo wywoływane rozdźwięki. Rezolucja łódzkich dziennikarzy, zawierająca stwierdzenie dość oczywiste i — co ważniejsze — zgodne, jak się wydaje — z duchem czasu i z duchem odnowy, potraktowana została w swoim czasie przez pewnych działaczy jednego z województw ościennych jako wystąpienia niemal kontrrewolucyjne...

Jak to skomentować? Jesteśmy jacy jesteśmy... Nawet najuczciwszym ludziom trudno jest z dnia na dzień, z godziny na godzinę, i w dodatku — przy niedostatku precyzyjnej informacji — przestawić stereotypy myślowe i stereotypy działań, zachowań, zwłaszcza, że wielu z nich, nie wtajemniczanych, odciętych od rzeczowej, obiektywnej wiedzy o rzeczywistości i dziś, ale przede wszystkim w niedawnej przeszłości, karmionych do wczoraj propagandą sukcesu, działało w dobrej wierze i z pełnym przekonaniem. I teraz, nagle, ten grunt przekonań rozsycha się, pęka... Tacy, nawet przez jakiś jeszcze czas po wstrząsie, skłonni są najoczywistsze prawdy przyjmować przez pryzmat niedawnych swoich — i w ich szczerym mniemaniu — jedynie słusznych przekonań. Stąd ich działania na oślep, przekłamania, niepewność.

Z nimi można jednak wiązać większe nadzieje, niż z takimi, którym przestawianie zwrotnicy przychodzi z dużą łatwością: gotowi są dla własnego dobra robić to codziennie; wczoraj głosili „białe", dziś mówią „czarne", lub na odwrót. Dobrze, że wzbudzają nieufność, zrozumiałe, że ją wzbudzają, bo nieufności zawsze budzi płytki, wyrachowany koniunkturalizm.

Są jednak i tacy, którym nowa sytuacja usuwa grunt spod nóg. Ci, najczęściej, dobrze się urządzili w niedawnej przeszłości, wykarmili na szczególnych swoich przywilejach, a i na niedostatkach rynku; zyskali znaczenie w tym nurcie polityki kadrowej, w którym kładło się nacisk na jednomyślność i posłuszeństwo — byli posłuszni tym, co są wyżej, a z większą jeszcze bezwzględnością egzekwowali posłuszeństwo od tych, którzy od nich zależeli. Dokonujące się obecnie przemiany wywołują w nich po prostu wrogość: łamie się bowiem układ, o którym sądzili, że jest już na dobre spetryfikowany, na zawsze dla nich bezpieczny. Każda zmiana grozi zachwianiem ich pozycji, zmniejszeniem, lub wręcz odebraniem profitów.

W TYGLU

Trzeba sobie zdać z tego sprawę po to, by móc działać elastycznie, z wyczuciem istniejącej sytuacji; bacząc na przeciwników, nie zrażać potencjalnych, a zdezorientowanych sojuszników procesu odnowy — by wiedzieć kto był i kto kim jest i dlaczego. To rozeznanie, świadomość sytuacji, pozwoli, być może, uniknąć nieprzemyślanych i znów — woluntarystycznych — posunięć w przyszłości.

W społecznym tyglu wrze. Na fali zmian wyrosły nowe związki zawodowe i to ich obecność, przede wszystkim, podtrzymuje temperaturę wrzenia. Konflikt nowe—stare? Podczas ostatniego plenum KC PZPR padły wyraźne stwierdzenia, że organizacyjna jedność ruchu związkowego przestała istnieć, ale i — że nie ona wreszcie jest najistotniejsza. Wartość nadrzędna, to jedność celów i dążeń, ochrona społecznych i materialnych praw pracowników, klasy robotniczej, jedność polityczna deklarowana w porozumieniach. Czyż więc może być mowa o trwałym konflikcie? Jeśli dotrzymywane będą, zawarte w protokołach porozumień, gwarancje dotyczące pryncypiów ustrojowych i naszych międzynarodowych sojuszy, jeśli wrogowie ustroju nie będą usiłowali piec w tym tyglu własnych pieczeni, sam fakt podziału organizacyjnego ruchu związkowego może się stać katalizatorem bardzo pozytywnych procesów: wśród nich — konkurencyjności w poszukiwaniach zmierzających do nadania rzeczywistości społecznej kształtu optymalnego. W każdym razie linia partii jest jasna: „treścią naszego stosunku do nowych związków będzie konstruktywna współpraca" — to cytat z referatu Biura Politycznego na ostatnim Plenum KC PZPR.

Jesteśmy jacy jesteśmy... Obserwuję ludzi, między innymi ze środowiska naukowego, inżynierów, techników, którzy w ostatnich latach pogrążeni w apatii, wywołanej bezsensownością autentycznego działania, sfrustrowani rozbieżnością między intencją i efektem, objawiający niekiedy opozycyjne — jak na owe czasy — ciągoty, odnajdują na nowo swoje miejsce w społeczeństwie, rzucają się w wir prac organizacyjnych, koncepcyjnych, odgrzebują posypane prochem, niekiedy pokutnym, idee. Odnajdują się także w niezależnych, samorządnych związkach, ale przecież nie tylko. Odnowa sprawia, że społeczeństwu wraca kapitał ludzki, zdawać by się mogło, że zdewaluowany.

Jesteśmy jacy jesteśmy... W jednym z biur zebranie, podczas którego przez kilka godzin walkuje się kwestie płacowe. Debata nad tym, dlaczego dyrektor, kierownicy działów itp., zarabiają więcej od innych. „Przyszedłem do pracy razem z Iksem — on jest dziś głównym specjalistą, zarabia o wiele więcej ode mnie. Czy to jest sprawiedliwe?"; „Dyrekcji podwyżki nie należą się. Jeszcze by im trzeba obniżyć płace, a nie podwyższać". Dlatego w imię rzekomej sprawiedliwości, takiej, co to nie uwzględnia kwalifikacji, umiejętności, wkładu pracy itp. Dyrektor macha ręką — macie pieniądze, dzielcie. — „O, co to, to nie. Wy je dzielcie, od tego jesteście". Itd., itp. My — brać, wy — dawać. Wy — ponosić odpowiedzialność, my — wykonywać. Ale pieniądze po równo! Nowa odmiana „czy się stoi, czy się leży...?"

Wrze w tym tyglu. Chciałoby się mieć do dyspozycji jakąś centryfugę, która by oddzieliła różne ingrediencje. Póki co musi wystarczyć zdrowy rozsądek. Czy starczy go nam? Burzy się w tyglu, na wierzch wychodzi i szumowina. Ci, którzy byli anty, są pro; ci którzy byli bardzo pro, są teraz anty... Jak to wszystko zrozumieć?

Byle by nam zdrowego rozsądku starczyło...

JERZY KATARASIŃSKI

NIEZALEŻNY ZWIĄZEK STUDENTÓW POLSKICH

3 października br. w sali kinowej Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej przysłuchiwaliśmy się otwartemu zebraniu Tymczasowego Komitetu Założycielskiego NIEZALEŻNEGO ZWIĄZKU STUDENTÓW ŁODZI. Powstał on — jak głosi pierwsze Oświadczenie Międzyuczelnianego Komitetu Założycielskiego — 28 września. Nieco wcześniej podobne komitety zawiązały się w Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Toruniu i innych miastach.

Główną częścią zebrania, w którym oprócz studentów PWSFTviT (będącej aktualną siedzibą Komitetu Założycielskiego Związku) uczestniczyli studenci UŁ, PŁ, AM, PWSM i PWSSP, była dyskusja nad projektem statutu nowego Związku. Związek stać ma na gruncie Konstytucji PRL, zrzeszając studentów „bez względu na światopogląd, przekonania i ideologię", pozostając jednocześnie organizacją apolityczną i niezależną od władz uczelni, administracji państwowej i organizacji politycznych.

Cele nowego Związku przedstawia rozdział trzeci projektu statutu, który mówi o „obronie praw i interesów studentów", a zwłaszcza konkretnie: „obronie godności osobistej i statusu społecznego studenta, ochronie prawnej studentów, ochronie interesów socjalno-bytowych studentów, zapewnieniu wpływu studentów na program studiów i jego realizację, tworzeniu sprzyjających warunków dla swobody pracy naukowo-badawczej i podobnej, organizowaniu działalności kulturalnej środowiska studenckiego, zapewnieniu swobody twórczości artystycznej studentom". Ten sam rozdział projektu statutu określa sposoby realizacji tych celów. Za najważniejsze z nich można uznać: reprezentowanie studentów wobec władz uczelni oraz władz państwowych, udział demokratycznie wybranych przedstawicieli Związku w organach kolegialnych uczelni oraz organizowanie różnych form pomocy materialnej studentom i działalności naukowej, kulturalnej, artystycznej.

Jak wynika z projektu statutu NZSŁ, programów działania wcześniej utworzonych Komitetów Założycielskich w innych miastach, a także z przebiegu dyskusji na zebraniu w dniu 3 października w PWSFTviT, zasadniczą ideą powoływania nowych organizacji studenckich jest umożliwienie wszystkim studentom szansy kształtowania: urzeczywistniania i przestrzegania autonomii wyższej uczelni, jak również prawdziwie demokratycznego, opartego na pluralizmie ruchu studenckiego. Pluralizm ten ma się wyrażać poprzez „prawo do swobodnego zrzeszania się studentów i pracowników naukowych na terenie szkoły wyższej: w organizacje o charakterze związków zawodowych, we wszelkiego typu organizacje o charakterze naukowym, kulturalnym i wyznaniowym" oraz prawo do tworzenia na latach, kierunkach, wydziałach, uczelniach „samorządów, będących reprezentacją wszystkich studentów" (tj. zrzeszonych i niezrzeszonych).

Zarząd Główny SZSP w uchwale ostatniego, XVI Plenum stwierdza: „Jeśli w środowisku naszym dojdzie do utworzenia innych organizacji, będziemy starali się, w imię jedności, nawiązać konstruktywną współpracę".

Powstanie nowych organizacji staje się faktem. Czy współistnienie SZSP i Niezależnego Związku Studentów zapewni pełną realizację idei partnerstwa, o której najgłośniej mówi dziś młodzież? Czy będzie najlepszą drogą do rozbudzenia aktywności szerokich rzesz studenckich, czy doprowadzi do przełamania tak popularnych wśród nich postaw pasywnych i konformistycznych? — pokaże najbliższa przyszłość.

(T. SOL.)

KRONIKA KULTURALNA

W KRAJU. Obradował nadzwyczajny walny zjazd delegatów Stowarzyszenia **Polskich Artystów Teatru i Filmu SPATiF —ZASP.** Jak wynika z uchwały, kwestia organizacji ZASP uznana została przez delegatów za sprawę, która może być załatwiona w dalszej kolejności. Jako priorytetowe uznano działania zmierzające do ostatecznego nadania form prawnych związkowi „Solidarność".

Odbyły się również posiedzenia plenarne kilku innych organizacji. 29 września obradowało rozszerzone **Plenum ZG Związku Zawodowego Pracowników Poligrafii.** Dyskutowano nad nowym statutem Związku, sprawami podwyżek i regulacją wynagrodzeń. Na 12—13 października zaplanowany jest krajowy zjazd związku, który zatwierdzi nowy statut.

3 października spotkał się na plenarnym posiedzeniu **Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek.** Krytycznie podsumowano realizację tegorocznych planów wydawniczych. Zostaną one spełnione zaledwie w 80 proc., w wyniku czego wskaźnik produkcji książek na głowę mieszkańca spadnie poniżej 4 egzemplarzy. Wiele uwagi w trakcie dyskusji poświęcono także nowo powstałym związkom zawodowym, działającym w wydawnictwach.

Swoją uchwałę na temat aktualnej sytuacji podjął **Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków** na plenum 3 bm. Zarząd wyraził solidarność z treścią porozumień podpisanych w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu; zwrócił również uwagę na znaczenie kultury dla rozwoju kraju. Obok postulatów ogólnych, w uchwale znalazły się m. in. wnioski na temat określenia statusu artysty-plastyka, wykorzystania doświadczeń ZPAP w dziedzinie kształtowania środowiska, objęcia programem ochrony dóbr kultury i wartości powstałych w 35-leciu.

W ŁODZI. Nagrody dla łodzian... Na dorocznym kongresie międzynarodowego stowarzyszenia filmu naukowego, który zakończył się ostatnio w Kolonii (RFN) jeden z kilkunastu dyplomów honorowych otrzymał film **„Ślimaki"** reż. **J. Bezkowskiego z łódzkiej WFO** (startowało 230 filmów z 30 krajów). Natomiast w konkursie pn. „Zamość w sztuce", ogłoszonym z okazji 400-lecia tego miasta, jedną z trzech nagród trzecich w dziale malarstwa otrzymał — za pracę „Zamość — Rynek Solny" — łódzki plastyk **Andrzej Sadowski.**

* * *

PRACOWNICY łódzkich PKZ przystąpili do prac związanych z przenoszeniami zabytkowego **XVI-wiecznego kościółka modrzewiowego w Woli Grzymalinie.** Budowla ta znajduje się obecnie na terenie przyszłej bełchatowskiej kopalni. Po zdemontowaniu, przeniesieniu i częściowym remoncie, któremu towarzyszyć będą prace konserwatorskie nad wyposażeniem cennego wnętrza świątyni, kościółek znajdzie się w Białej koło Pajęczna.

* * *

W SOBOTĘ 11 bm. na Małej Scenie Teatru im. Jaracza odbędzie się prapremiera polska **„Rozmów uchodźców" Bertolta Brechta.** Spektakl reżyseruje **Jerzy Hutek,** autorem scenografii jest **Marian Panek,** muzykę skomponował **Piotr Hertel,** a rozmowy pełne humoru, ironii i paradoksu na temat współczesnego świata prowadzą: **Wanda Grzeczkowska, Andrzej Głoskowski i Jan Hencz.**

W OŚRODKU Propagandy Sztuki otwarto wystawę rzeźb, obrazów i dokumentów fotograficznych (rzeźb plenerowych i kameralnych) **Henryka Burzca** z Zakopanego. Znalazło się tu wiele prac z nurtu „zaangażowanego"... Kolejnym przypomnieniem oryginalnej twórczości **Wacława Kondka** stała się wystawa jego prac z cyklu **„Bałuckie obrazy"**, zorganizowana w Galerii Bałuckiej... Dorobek ostatnich lat zaprezentował natomiast łódzki malarz **Kazimierz Kędzia** — na wystawie w Salonie Sztuki Współczesnej.

* * *

1 PAŹDZIERNIKA br. w Muzeum Historii Miasta odbył się monograficzny koncert kameralny poświęcony twórczości **Aleksandra Tansmana,** światowej sławy kompozytora polskiego pochodzenia, urodzonego przed 83 laty w Łodzi (przebywał on tu do 18 roku życia). Na koncert przygotowany staraniem Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego przybył sam kompozytor, podróżujący obecnie po Polsce.

* * *

W KRAJU. 2 października br. odbyła się w Ministerstwie Kultury i Sztuki narada dyrektorów wydziałów kultury i sztuki urzędów wojewódzkich. Uczestnicy krytycznie ocenili materialne warunki kultury, a zwłaszcza wysokość nakładów państwa na rozwój bibliotek, czytelnictwa, muzeów, kin, domów i ośrodków kultury. Wyrażono niepokój, co do dalszych losów placówek kulturalnych, znajdujących się w gestii związków zawodowych i zakładów pracy. W toku narady poinformowano o postępie prac nad nowymi układami zbiorowymi dla wszystkich grup zawodowych resortu oraz nad realizacją zgłoszonych ostatnio przez środowiska kultury i sztuki postulatów.

* * *

W PTL „Pinokio" obradowali twórcy i pracownicy teatrów lalek z kilkunastu ośrodków kraju. Omawiano ważniejsze problemy dotyczące miejsca tego gatunku teatru w społeczeństwie, pozycji zawodu lalkarza, warunków funkcjonowania, spraw materialnych i bytowych środowiska. Zebrani wystąpili z szeregiem postulatów i propozycji pod adresem Ministerstwa Kultury i Sztuki, związków zawodowych, organizacji POLUNIMA i całego środowiska.

TYDZIEŃ W POLITYCE

VI Plenum KC PZPR, które poświęcone było ocenie sytuacji politycznej kraju i aktualnym zadaniom partii, podjęło również wątek międzynarodowy. W referacie Biura Politycznego, który wygłoszony został przez I sekretarza KC — Stanisława Kanię, znalazło się potwierdzenie naszej polityki zagranicznej.

Polska zyskała znaczny autorytet międzynarodowy, gdyż **„zawsze staliśmy po stronie tych sił i racji, które nakazują przeciwstawić się wyścigowi zbrojeń i próbom powrotu do zimnej wojny, zatruwaniu atmosfery międzynarodowej i prowadzeniu polityki z pozycji siły. W toczącym się od szeregu lat europejskim dialogu Polska zawsze prezentowała konstruktywne stanowisko...".**

Rok bieżący przyniesie spotkanie w Madrycie. Jesteśmy zdania, że powinno ono doprowadzić do uzgodnienia praktycznych kroków w celu kompleksowej realizacji Aktu Końcowego.

„Jesteśmy nadal gotowi działać aktywnie na rzecz zwołania konferencji odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie. Potwierdzamy gotowość jej przyjęcia w Warszawie".

W minionym tygodniu nadal i niebezpiecznie rozwijał się konflikt irańsko-iracki. Na naszych oczach zamienia się on w wojnę na wyczerpanie, tym niebezpieczniejszą.

W sprawie konfliktu zabrała głos Rada Bezpieczeństwa niestety jej rezolucję przyjął tylko Irak. Iran odrzucił propozycję przerwania ognia. **To przechyliło w ostatnich dniach sympatie w stronę Bagdadu.** Tak jest zwłaszcza w odbiorze bliskowschodnim. Inaczej podchodzi do konfliktu jedynie Izrael, który nie ukrywa swej opinii, iż zwycięstwo Iraku, „siły bezwzględnej i brutalnej", byłoby katastrofą dla Zachodu. Stąd, chociaż chomeinizm jest przecież antyizraelski, ostatnio mnożą się oferty Tel Awiwu pod adresem Teheranu dostaw artylerii, amunicji, rakiet...

Stany Zjednoczone z konieczności zajęły pozycję neutralną, choć najchętniej opowiedziałyby się po stronie irackiej, licząc w następstwie na obalenie Chomeiniego w Iranie.

Tak więc sytuacja pogmatwała się strasznie. Wojna tymczasem trwa, próby mediacji okazały się dotychczas bezowocne, a implikacje konfliktu mogą mieć wymiar szerszy.

* * *

Innym wydarzeniem tygodnia jest **nieoczekiwany upadek 39 rządu włoskiego, gabinetu F. Cossigi.**

Upadkowi towarzyszyły dziwne okoliczności. W jawnym głosowaniu nad dekretami ekonomicznymi rząd uzyskał większość 65 głosów, w tajnym natomiast został obalony jednym. Co ciekawsze — ten trójpartyjny gabinet (chadecko-socjalistyczno-republikański) przewrócił się głosami nie opozycji, lecz deputowanych partii rządzących.

Pozbawienie Włoch rządu nastąpiło w momencie szczególnie trudnym dla kraju. Ponadto 100 tys. robotników przemysłu metalowego, samochodowego i chemicznego ma otrzymać zwolnienie z pracy. Trzy centrale związkowe wezwały w tej sytuacji do strajku. Nadal nierozwiązane są liczne problemy społeczno-gospodarcze.

Po 6 miesiącach sprawowania władzy przez rząd Cossigi zaczyna się znów poszukiwanie formuły wyjścia z politycznych kłopotów. Wątpi się, aby dotychczasowy premier mógł zmontować nową ekipę.

Komuniści włoscy uznani upadek tego rządu za zjawisko korzystne dla klasy robotniczej i lewicy oraz domagają się gabinetu „poważnego i bardziej otwartego" niż poprzedni.

W. SŁAWSKI

LISTY

KTO, KOMU, CO SZKLI...

Szanowna Redakcjo!

W maju 1980 roku złożyłam zamówienie na oszklenie okien w Szkole Podstawowej nr 101 w S-ni Szklarskiej im. J. Krasickiego w pkt. usługowym nr 5 przy ul. Zgierskiej.

Zamówienie zostało przyjęte do realizacji. Jestem w częstym kontakcie telefonicznym z kierownikiem tego punktu, który zapewniał, że usługa ta zostanie wykonana do końca sierpnia br. Minął sierpień, następnie we wrześniu kierownik punktu wyznaczał wielokrotnie terminy przyjścia do szkoły i wykonania tej usługi (np. mówił proszę czekać będziemy za 1/2 godziny).

Jednakże nikt się nie zjawił. Wysłałam do punktu pracownika szkoły i wtedy kierownik zaproponował, że mogę przecież wziąć sobie szyby i samemu wykonać szklenie (jak wiem, płaci się wtedy za szyby + usługa — jest to częsta praktyka tego zakładu). Wobec tego zadzwoniłam do Zarządu S-ni i przedstawiłam sprawę kierownikowi technicznemu, ob. Świątkowskiemu. Stwierdził on, że zamówienie powinnam złożyć w Zarządzie, to wtedy oni przysłaliby mi „odmowę wykonania usługi i nie byłoby sprawy", a jeśli ja prowadzę jakieś „konszachty" z kier. pktu to nie jego sprawa. Gdy usiłowałam mu wytłumaczyć, że kier punktu powinien wiedzieć jaki jest tok załatwiania zamówień na usługę, ob. Świątkowski stwierdził, że na pewno dobrze wiedziałam jak się taką sprawę załatwia, tylko na pewno z kierownikiem nie mogłam dojść do porozumienia i teraz usiłuję wyjaśnić tę sprawę korzystnie dla siebie. Mimo to miał sprawę wyjaśnić tzn. zapytać kierownika jak to by naprawdę...

Minęły znowu dwa tygodnie, jest październik, coraz zimniej...

Dyrektor Szkoły nr 101

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

GWARANCJE SĄ W NASZYCH RĘKACH

— Wielu z nas jest zdezorientowanych. Nie bardzo wiemy, co robić. A przecież jest statut. Tam wszystko jest dokładnie zapisane. Trzeba to sobie tylko przypomnieć.

Ale prawda jest taka, że po statut sięgamy na ogół w momentach krytycznych. Powoływanie się na statut w „czasach normalnych" było czymś „nieprzyzwoitym", niemile widzianym. A we wstępie do „Statutu PZPR" napisano:

„Przestrzeganie tych zasad w praktycznej działalności partii jest nieodzownym warunkiem spełniania przez nią doniosłych historycznych zadań, osiągnięcia jej programowych celów."

Jakie to są zasady?

Jest to przede wszystkim centralizm demokratyczny. Jest to — jak ktoś ładnie powiedział — czas na dyskusję, czas na podejmowanie decyzji i czas na ich realizację. W teorii nikt przeciw centralizmowi demokratycznemu nie występował. W praktyce było zupełnie inaczej.

Centralizm demokratyczny zakłada że:

— istnieje podporządkowanie organizacji niższych wyższym,

— najwyższą władzą partii jest zjazd, a w organizacjach wojewódzkich, miejskich, gminnych, konferencje, w POP — ogólne zebranie,

— wybory do władz partyjnych odbywają się w sposób demokratyczny, w tajnym głosowaniu i wszyscy członkowie partii mają prawo wysuwania kandydatów, a także zgłaszania w stosunku do nich sprzeciwów i zastrzeżeń,

— wszystkie uchwały podejmuje się większością głosów przy obecności większości członków danej organizacji,

— dyscyplina partyjna jest jednakowa dla wszystkich,

— każdy członek partii ma prawo w obronie swego stanowiska odwoływać się bezpośrednio do instancji partyjnych aż do KC i zjazdu włącznie,

— wszystkie instancje partyjne obowiązane są do skrupulatnego badania wniosków i postulatów członków partii i organizacji partyjnych i informowania o sposobie załatwiania tych wniosków i postulatów,

— decyzje władz partyjnych muszą być podejmowane kolegialnie,

— organizacje partyjne mają prawo do podejmowania uchwał w sprawach swego terenu działania, pod warunkiem, że uchwały te nie będą w sprzeczności z ogólną linią polityczną partii,

— organizacje partyjne i władze partyjne mają obowiązek wzajemnego informowania się o swojej pracy i o swoich sprawach, nad którymi pracują,

— wszystkich członków partii i organizacje partyjne obowiązuje przestrzeganie ideowej i organizacyjnej jedności partii, jako nieodzownego warunku jej siły i bojowości.

Adolf Dobieszewski w niedawno wydanej książce, bo w 1979 roku, zatytułowanej „Zarys leninowskiej nauki o partii" pisze:

„Każdy członek partii ma prawo swobodnego i rzeczowego omawiania polityki partii na zebraniach partyjnych i w prasie partyjnej, omawiania i krytykowania na zebraniach partyjnych pracy lub postępowania każdego członka i działacza partii — nieskrępowana i twórcza dyskusja i krytyka jest bowiem warunkiem rozwoju świadomej dyscypliny w szeregach partii".

Chodzi tylko o to, aby to prawo było przestrzegane z żelazną konsekwencją, aby nikt nie rozumiał krytyki konkretnej i personalnie adresowanej jako ataku na partię. A tak — niestety — bywało. Przypomnę tu choćby już legendarny przypadek ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Koninie, który na jednym z plenarnych posiedzeń KC partii ostro skrytykował ówczesną politykę kierownictwa partii. Tadeusz Grabski jest dziś sekretarzem KC PZPR. I słusznie. A wspominam o tym tylko dlatego, że do dziś nie wiem, jaka była treść jego ówczesnego przemówienia.

Do dziś posiadam w swoim archiwum numer „Nowych Dróg" z 1956 roku z pełnymi tekstami wygłoszonych przemówień na VIII Plenum KC PZPR z 1956 roku. Plenum to odbywało się w dniach 19—21 października 1956 roku. Dziesiąty numer „Nowych Dróg" w całości poświęcony temu plenum podpisano do druku 6 listopada 1956 roku. Posiadam również specjalny numer „Nowych Dróg" poświęcony VIII Plenum KC PZPR z lutego 1971 roku. Ale ten numer oddano do druku 15 maja 1971 roku. W praktyce redakcyjnej „Nowych Dróg" coraz rzadziej publikowano pełne teksty wypowiedzi dyskutantów na kolejnych plenarnych posiedzeniach. Nie przypuszczam, aby była to tylko zła wola redakcji. „Trybuna Ludu" oraz pisma partyjne zamieszczały na ogół omówienia przemówień wygłaszanych w dyskusji na plenarnych posiedzeniach. Rozumiem kłopoty gazet z objętością, ale jako członek partii mam prawo wiedzieć, co i kto mówi na plenarnych posiedzeniach KC PZPR. Dopiero teraz wracamy do praktyki publikowania wypowiedzi na plenarnych posiedzeniach. Jednakże do dziś (5 październik 1980 roku) nie dotarł do mnie ostatni numer „Nowych Dróg" zawierający materiały z ostatnich plenarnych posiedzeń KC PZPR, choć jestem prenumeratorem organu teoretycznego i politycznego KC PZPR.

Toczą się właśnie obrady VI Plenum KC PZPR i znów nie wiem, czy jutrzejsza „Trybuna Ludu" przyniesie pełne teksty przemówień na tym plenum, czy tylko ich omówienia. A bardzo chciałbym wiedzieć, co mieli do powiedzenia Komitetowi Centralnemu partii między innymi Jerzy Łukaszewicz, Zdzisław Grudzień, Tadeusz Wrzaszczyk.

Z tekstem wystąpienia I sekretarza KW PZPR w Gdańsku — **Tadeusza Fiszbacha** na VI Plenum KC PZPR zapoznałem się w Gdańsku, gdyż zostało opublikowane na łamach „Głosu Wybrzeża" 25 sierpnia 1980 roku. A sądzę, że wówczas wszyscy chętnie by je przeczytali, gdyż Tadeusz Fiszbach dał wnikliwną i rzetelną ocenę trwających wówczas na Wybrzeżu strajków. Dla mnie, opublikowanie przemówienia T. Fiszbacha tylko w Gdańsku jest przykładem zahamowań, jakie występowały w obiegu informacji i poglądów. Swego czasu byłem wielkim entuzjastą dokonanej w połowie 1975 roku reformy administracyjnej. Reforma ta w swoim założeniu miała sprzyjać decentralizacji również w życiu partii. Stało się inaczej. Sprzyjała centralizacji. W praktyce — wbrew założeniom — sprzyjała też blokowaniu informacji. Zwielokrotniły się tylko kręgi różnego stopnia wtajemniczenia. Coraz mniej i trudniej dowiadywaliśmy się o tym, co dzieje się w drugim końcu Polski.

Ale i w poszczególnych województwach informacje i poglądy nie przepływały swobodnie. Niektóre wojewódzkie instancje otrzymały swoje tygodniki. Powstała możliwość szerszego informowania ludzi o istotnych problemach regionów. Nie wszędzie z tej możliwości w jednakowym stopniu skorzystano.

W jednym z województw na początku września 1980 roku odbyło się posiedzenie instancji wojewódzkiej. W tygodniku opublikowano krótkie omówienie przebiegu obrad oraz pełny tekst uchwały. W uchwale tej między innymi można przeczytać:

— „przyjąć informację wojewody (...) jako słuszne kierunki działania ogniw administracji terenowej...

— przyjąć przedstawioną w referacie Egzekutywy KW PZPR ocenę aktualnej sytuacji społeczno-politycznej w województwie,

— zaakceptować propozycję kierunków działania zawarte w referacie Egzekutywy KW, wzbogacić je o wnioski z dyskusji i przyjąć jako obowiązujące w pracy partyjnej na najbliższy okres..."

Wszystko to pięknie, tylko, co ma z takiego publikowania uchwały czytelnik, który zupełnie nie wie, jaka była treść informacji wojewody, treść referatu i zawartej w nim oceny, a także, jakie zaproponowano kierunki działania. Takie formalne tylko oddrukowanie tekstu uchwały niczemu nie służy i stwarza jedynie pozory jawności życia partyjnego. Jest to w gruncie rzeczy sprzeczne z duchem i literą centralizmu demokratycznego. Jest tylko zgodne z dotychczas panującym stylem działania i informowania członków partii.

Centralizm demokratyczny składa się z dwu członów: centralizmu i demokratyzmu. Przepraszam za to banalne sformułowanie, ale trzeba to jednak przypomnieć. Chodzi bowiem o to, aby w życiu partii ani centralizm nie przeważał nad demokratyzmem, ani też demokratyzm nie przesłonił centralizmu. Do tej pory mieliśmy nadmiar centralizmu. Teraz musimy ponownie uczyć się demokratyzmu. Nie jest to łatwe, ale innej drogi po prostu nie ma.

W referacie Biura Politycznego KC PZPR na VI Plenum stwierdza się:

„Drugą stronę centralizmu demokratycznego stanowi demokratyzm stosunków wewnątrzpartyjnych. Oznacza to w pierwszym rzędzie taki tryb funkcjonowania partii, w którym każda uchwałę poprzedza swobodna, nieskrępowana dyskusja. Demokratyczne normy życia wewnątrzpartyjnego stwarzają więc dla każdego członka partii możliwość wypowiedzenia swych poglądów i opinii."

3 października 1980 roku Telewizja Polska nadała sprawozdanie ze spotkania premiera Józefa Pińkowskiego z górnikami kopalni „Siemianowice". Okazało się nagle, że można dyskutować, przemawiać i rozmawiać nie posługując się uprzednio przygotowanym tekstem. Słuchało się tej rozmowy premiera z górnikami z przyjemnością i satysfakcją. Wcale nie mamy takich głupich ludzi, jak to usiłowano nam wielekroć wmawiać.

— Cóż to były za dyskusje — powiedział mi jeden z moich rozmówców — **w których występowali z góry ustaleni mówcy, którzy mieli z góry ustalone teksty przemówień i zabierali głos w „dyskusji" nad referatami, których uprzednio nie znali. Czas najwyższy skończyć z reżyserowaniem życia partyjnego.**

I trudno mu odmówić racji.

Skąd się brały takie tendencje do reżyserowania, do takiego działania, aby wszystko było ugrzecznione, wyprane z treści, z góry ustalone, zaplanowane? Brało się to z przerostu poczucia odpowiedzialności. Ogłoszona na początku lat siedemdziesiątych formuła: **Partia kieruje, rząd rządzi** — pozostała jedynie na papierze. A formuła ta może stać się wytyczną działania jedynie w warunkach pełnego przestrzegania centralizmu demokratycznego, w warunkach pełnego zaufania do członków partii. Jeśli partia, jej kierownicze instancje wszystkich szczebli będą realizowały swoje funkcje kierownicze poprzez członków partii, a nie poprzez członków aparatu instancji partyjnych, wtedy nie będzie potrzeby zastępowania przez instancje partyjne urzędów i instytucji. Skoro jednak instancje partyjne i pracujący w tych instancjach ludzie za wszystko czuli się odpowiedzialni, o wszystkim musieli wiedzieć, o wszystkim decydować, wszystkiego doglądać, wszystko kontrolować, wtedy powstała taka sytuacja, że konsultowanie zamieniło się w dyrygowanie i uzgadnianie. Skrępowana została samodzielność nie tylko administracji, ale i organizacji partyjnych. Dziś nam tej samodzielności potrzeba najbardziej, a musimy jej dopiero się uczyć. Przywykliśmy bowiem do tego, że dostajemy wytyczne z góry i postępujemy w myśl tego, co zostało ściśle określone, nakazane. Tymczasem w naszym życiu społecznym pojawiły się teraz nowe zjawiska, wobec których musimy samodzielnie, mając na uwadze generalną linię partii, zająć stanowisko, określić nasze partyjne działanie.

Lekceważenie zasad centralizmu demokratycznego doprowadziło do uwiądu wiele funkcji zebrań partyjnych. Zamierały dyskusje, bo różnica poglądów była niemile widziana. Zamierała również dlatego, bo nie było warunków do swobodnej krytyki. A nie może być dyskusji, jeśli nie ma różnicy poglądów, jeśli nie można krytykować czyjegoś postępowania, czyichś poglądów.

„Krytyka — pisał Włodzimierz Lenin — **w granicach założeń programu partyjnego winna być zupełnie swobodna (...) i to nie tylko na partyjnych, ale i na masowych zebraniach."**

Uchwały partyjne nawoływały do krytyki, ale praktyka życia partyjnego krytykę wykluczała. Ludzie jednak mówili o tym, co ich interesuje, o tym co według nich dzieje się źle. Bez krytyki przecież nie można sprawować funkcji kontrolnych. Wobec tego powstało coś, co nazwano „rozmowami indywidualnymi", a co przypominało spowiedź przed partyjną komisją. Ludzie mogli się wygadać, wyrzucić z siebie to, co ich bolało i nurtowało, ale to i tak nie odnosiło większego praktycznego skutku. Zresztą i „rozmowy indywidualne" zaczynały obumierać śmiercią naturalną. Była to bowiem forma zastępcza, w istocie swej sprzeczna z zasadami centralizmu demokratycznego, sprzeczna z istotą działania zebrań partyjnych, na forum których jest właściwe miejsce do mówienia o wszystkim, co interesuje i obchodzi członków partii. Trzeba bezwzględnie przywrócić właściwą rolę zebraniom partyjnym, gdzie w sposób otwarty, szczery i mądry będzie się mówić o wszystkim, co obchodzi organizację partyjną, jej wszystkich członków, gdzie również będzie się podejmowało problemy ideologiczne, a nie tylko obracało się w wąskim kręgu pragmatyzmu.

Mieliśmy stanowczo za mało dyskusji ideologicznych. Nie dyskutowano o tych sprawach na forum instancji centralnych i wojewódzkich. Zresztą problemy ideologiczne rozumiano również w sposób pragmatyczny. Skutek jest taki, że wiele organizacji stając wobec sprawy nowych związków zawodowych wykazuje zupełną bezradność i czeka na odgórne wytyczne, aby im się tylko podporządkować. Nie jest to ofensywny styl działania partii. Partia — a rozumiem pod tym pojęciem, o czym pisałem na początku, wszystkich jej członków — jeśli ma spełniać swoją kierowniczą rolę, nie może tylko oczekiwać na wytyczne, musi sama szukać rozwiązań, kierując się generalną linią, mając na uwadze niepodważalne zasady ustroju.

Wielu z ludzi, z którymi rozmawiałem przed napisaniem tego artykułu, mówiło, że niecierpliwie czeka na dalszy ciąg VI Plenum KC PZPR. Teraz, gdy to piszę, dobiegają końca obrady tego plenum. Znany już jest referat Biura Politycznego KC PZPR. Opublikowała go dzisiejsza „Trybuna Ludu". Ludwik Krasucki komentując ten referat w radiowej audycji „W samo południe" powiedział, że jest on utrzymany w stylu męskim, ale zapewne nie zadowoli tych, którzy oczekiwali więcej i tych, którzy oczekiwali znacznie mniej, którzy chcieliby bronić dawnego stylu pracy w partii. Sądzę, że referat ten — a nie mogę mówić o innych materiałach VI Plenum KC PZPR, bo ich jeszcze nie znam — nie zadowoli również tych, którzy oczekiwali, że przyniesie im gotowe recepty postępowania. Nie przynosi takich recept, bo przynieść nie może. Partia musi bowiem być silna mądrością nas wszystkich i dlatego w referacie znalazło się takie stwierdzenie:

„Partia, każda jej organizacja musi śmiało stawać na czele pozytywnych przemian, musi je inicjować. Tylko wówczas zapewnimy im treść zgodną z socjalizmem, z interesami narodu."

Mam świadomość, że w partii są również ludzie, którzy niechętnie przyglądają się zachodzącym przemianom, którzy chcieliby — jak to się kiedyś ładnie mówiło — zatrzymać koła historii. Nie rozumieją oni, że kierować rozwojem społeczeństwa, narodu nie można ani wbrew narodowi, ani obok jego dążeń. Ale mam też świadomość, że tylko partia — to znaczy my wszyscy jej członkowie — możemy wyprowadzić kraj z najcięższego kryzysu, jaki w powojennej historii dotknął nasz naród.

Są ludzie, którzy nieufnie przyglądają się temu, co się dzieje. Ich nieufność bierze się stąd, że przeżyli już kryzys 1956 roku i kryzys 1970 roku i boją się, że dokonywane obecnie zmiany i przemiany mogą nie zagwarantować tego, żeby taki kryzys znów się nie powtórzył w niedalekiej przyszłości. Rozumiem ich obawy, bo pytanie o gwarancje jest powszechne. Ale rozumiem też, że gwarancje te są w naszych rękach i stanie na boku nie przyczynia się do ich wcielenia w życie.

Nie zaczynamy w partii wszystkiego od początku. Nie wszystko, co robiliśmy do tej pory było złe. Mamy sporo dobrych doświadczeń, metod, mamy bogaty dorobek. Musimy tylko odrzucić wszystko to, co przeszkadzało, co prowadziło do wynaturzeń, co utrudniało właściwe funkcjonowanie organizacji partyjnych. Musimy szukać lepszych, sprawniejszych metod działania w ramach centralizmu demokratycznego, musimy przywrócić zebraniom partyjnym ich właściwy sens, rolę i znaczenie, aby już nikt nie bał się mówić na zebraniu tego, co myśli, co go nurtuje, boli, co mu przeszkadza. To chyba jedyna i podstawowa gwarancja.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NASZE SPRAWY

W CIENIU

RYSZARD BINKOWSKI

Wielokrotnie pisałem na tych łamach o największych zdobyczach socjalnych, jakie osiągnęła wieś w Polsce Ludowej, ale też nie ukrywałem, że nie wszystko we wspaniałych programach jest dopracowane i realizowane. Rolnicy uzyskali prawo do bezpłatnego leczenia, ale nie mogli zeń w pełni korzystać, ponieważ zabrakło lekarzy, aptek, ośrodków zdrowia z odpowiednim wyposażeniem i leków. Jeżeli w mieście odczuwa się brak leków, to cóż powiedzieć o wsi, gdzie farmaceuta tłucze się z torbą do odległej siedziby województwa, żeby wyżebrać coś dla swego punktu aptecznego.

Wskazywałem, że starzejący się rolnik jest za słaby, aby wysoką produkcją zapracować na godziwą emeryturę; że młodzi następcy często mają związane ręce, nie mogąc dokupić ziemi, ani nabyć maszyn i środków produkcji. Wyliczanie wszystkich problemów pochłonęłoby dwie kolumny druku, ograniczę się więc do kilku spraw. W jednej z publikacji mówiłem o tym, że telewizja daje społeczeństwu spaczony obraz wsi, pokazując chłopów w fotelach pod palmami, z książką na kolanach i wzrokiem utkwionym w ekran kolorowego telewizora. Dostojnicy państwowi w białych fartuchach wizytowali odsztyftowane na wysoki połysk gospodarstwa chłopskie. Telewidzowie nie wiedzieli, że często na takie okazje mieszkania rolników wyposażone były dzięki staraniom władz wojewódzkich, a w dużych oborach stały krowy wypożyczone z PGR. Byli rolnicy, którzy po wizytacji nie chcieli zwracać nagromadzonych dóbr, uciekając się do szantażu, że powiedzą, jak było naprawdę.

W innej z publikacji zauważyłem, że z wysokiej trybuny, obok zapewnień o pomocy, padło zdanie, że będziemy przekazywać wsi środki „w miarę naszych możliwości". Nie mówiło się już o wzroście dotacji i to powinno być sygnałem ostrzegawczym, że coś się zaczyna psuć. Dawało o sobie znać ogromne zadłużenie państwa. Zacofane rolnictwo starano się podźwignąć kosztem zakupu pasz, żeby rozwinąć hodowlę i móc eksportować mięso. Prawie połowę zadłużenia stanowią kredyty na import pasz.

W lipcu i sierpniu robotnicy przerwali zmowę milczenia, zerwali grubo lakierowaną maskę pewności siebie i samozadowolenia. Robotnicy załatwiali swoje sprawy, ale nie zapomnieli też o wsi, domagając się lepszego zaopatrzenia w żywność. Potem wysunięto postulat o trwałości i stabilizacji dla chłopskich gospodarstw rodzinnych. I to było wszystko. Wieś pozostała w cieniu wydarzeń historycznych. Nie zniknęła jednak z ekranów telewizyjnych. W początkowej fazie strajków telewizyjni ideolodzy starali się wykazać, że chłopi to są najwięksi patrioci, bo harują od świtu do nocy i ani w głowie im strajki. Był to chwyt poniżej pasa. Użyty z myślą, że do pewnych rozstrzygnięć najłatwiej posłużyć się pokorną, ofiarną wsią, na którą zawsze można liczyć. Ale w te ciężkie żniwa telewizyjna „propaganda sukcesu" doznała dotkliwej porażki. Bo pokazywanie chłopów z kosami, wyciągających zboże niemal z błota, było nie tyle jawną drwiną w stosunku do wsi, co zaprzeczeniem pokazywanych uprzednio sukcesów. Okazało się, że chłop tonie w błocie, bo nie zmeliorowano milionów hektarów ziemi, że nie ma maszyn i narzędzi.

Później, sprawa wsi objawiła się na łamach prasy codziennej w formie krótkiej notatki o rezygnacji z centralnych dożynek. Stary rolnik powiedział mi tak:

— *Przed wojną dożynki odbywały się co roku w Spale, w centrum Polski. Dojazd był łatwy i nie budowano żadnych drogich obiektów. Teraz wielkie delegacje jeżdżą przez cały kraj, idą na to miliony. Dodatkowe miliony idą na przebudowę i rozbudowę miast, gdzie odbywają się dożynki. Jeżeli już wydawano miliony, to czemu nie dla najmniejszych, najbiedniejszych miast wojewódzkich? Tym sposobem ostatnie z miast osiągnęłyby zaszczyt i środki finansowe za czterdzieści lat. Myślę, że te miliony potrzebne są na inne cele...*

Otóż to! Wsi potrzebne są dotacje, ponieważ plan rozwoju rolnictwa i poprawy wyżywienia narodu, przedstawiony na XV Plenum KC PZPR, na wielu ważnych odcinkach nie został zrealizowany. Nie inwestowano dostatecznie i sprawiedliwie we wszystkie trzy czynniki decydujące o wzroście produkcji rolnej, tj. w ziemię, maszyny i w ludzi. Ludzi zaczęło ubywać, dotkliwy stał się brak

Dalszy ciąg na str. 6—7

MOŻLIWOŚĆ WYBORU

W sobotę rano do redakcji przyszło pięć osób.

— *Jestem ze związku „Solidarność". Nazywam się Andrzej Wilczkowski* — przedstawił się szczupły, niewysoki pan, z brodą, którego nazwisko zna każdy miłośnik gór.

— *Ja również reprezentuję ten związek* — dodał Wojciech Przanowski.

— *W redakcji czekają już koledzy z Politechniki: Jolanta Zapałowska, Marek Koziara, Waldemar Żak.*

— Pozwoliłam sobie zaprosić Państwa do redakcji, aby skonfrontować opinie i poglądy na temat sytuacji w ruchu związkowym w Politechnice Łódzkiej. Cieszę się, że znaleźli Państwo dla nas czas, mimo że zwróciliśmy się z zaproszeniem nieomal w ostatniej chwili. Proszę nas jednak zrozumieć. W tych dniach, aby dotrzymać kroku wydarzeniom, pracujemy w tempie gazety codziennej. Szkoda, że termin spotkania nie odpowiadał prezesowi rady zakładowej ZNP. Mielibyśmy wówczas okazję do wysłuchania jeszcze jednej opinii.

Rozmawiamy, wyjaśniamy poglądy i stanowiska. Powoli, z natłoku informacji wyłania się chronologiczny zapis wydarzeń. A zatem: natychmiast po podpisaniu porozumienia gdańskiego, w Politechnice odbyły się zebrania we wszystkich Instytutach. Ludzie zbierali się spontanicznie, rozmawiali szczerze o tym, co narastało w nich od lat. Podczas tych zebrań dochodzili do wniosku, że ZNP w dotychczasowej strukturze nie jest w stanie spełnić zgłaszanych postulatów, że nie gwarantuje odnowy. Opowiadano się za nowym, niezależnym związkiem zawodowym. Nie było wątpliwości co do tego, że powinien to być związek niezależny od skompromitowanej i nie broniącej interesów pracowników CRZZ. Zarysowały się jednak różnice w poglądach. Dziś, to jest 6 października, kiedy oddajemy materiał do druku, po dniach pewnego chaosu, wahań ze strony pracowników, a nawet pewnego lęku związanego z wyraźnym opowiedzeniem się po jednej ze stron, sytuacja wygląda następująco.

23 września 1980 r. odbyło się walne zebranie delegatów pracowników Politechniki Łódzkiej, podczas którego powstał Komitet Założycielski Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego. Zebrani zdecydowali się przystąpić do NSZZ „Solidarność" poprzez rejestrację w Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim NSZZ województwa łódzkiego. Z Komitetu Założycielskiego w tajnym głosowaniu wyłoniono 7-osobowe prezydium w następującym składzie: Grzegorz Palka, Władysław Kotełko, Lech Brzeski, Jan Ciupek, Wojciech Przanowski, Czesław Stradowski i Andrzej Wilczkowski.

A. Wilczkowski: — *Brałem udział w zebraniach wielu różnych organizacji społecznych. Nigdzie jednak nie spotkałem się z tak porywającą atmosferą, jak na zebraniu „Solidarności". Wyraźnie dawał się odczuć podziw i uznanie dla robotników Wybrzeża. Mieliśmy także świadomość, że kiedy przyjdą na zajęcia studenci, powinni wiedzieć, co o tym myślimy, za kim i za czym się opowiadamy. Nigdy nie działałem w związkach zawodowych, ale atmosfera jest w tej chwili taka, że aż chce się pracować.*

Wojciech Przanowski: — *Ja również nie byłem działaczem. Uważałem, że się do tego nie nadaję. Dziś, po prostu nie mogę nie włączyć się do tego ruchu. Za jeden z największych jego atutów uważam przywrócenie zaufania człowieka do człowieka i pobudzenie autentycznej aktywności społecznej. Do naszego pokoju w Politechnice przychodzą profesorowie i pracownicy fizyczni. Zgłaszają się grawerzy i plastycy. Chcą opracować projekty legitymacji i pieczątek. Przychodzą ludzie z zebranymi wśród kolegów pieniędzmi na potrzeby związku. To ogromnie cieszy, ale i sprawia kłopot. Nie mamy jeszcze osobowości prawnej, nie jesteśmy upoważnieni do przyjmowania tych funduszy.*

NSZZ przy Politechnice Łódzkiej, decydując się przystąpić do Związku „Solidarność", przyjął tym samym jego statut. W rozdziale V, § 29 tego statutu czytamy:

„Sekcje zawodowe i branżowe na szczeblu regionalnym powoływane są przez zarządy regionalne Związku z inicjatywy zakładowych organizacji związkowych. W wyniku porozumienia między odpowiednimi sekcjami szczebla regionalnego Komisja Krajowa powołuje sekcje zawodowe i branżowe na szczeblu krajowym."

Pracownicy Politechniki Łódzkiej liczą się więc z czasem, z możliwością powołania sekcji zawodowej pracowników naukowych w ramach Związku „Solidarność".

A. Wilczkowski: — *Mamy ogromnie dużo pracy. Tworząc związek i program działalności od nowa, zbieramy postulaty i propozycje „od dołu". Powołaliśmy komisję programową, która opracuje wnioski i podda je znów pod ocenę członków związku. Postulaty dotyczą zarówno spraw związanych z ruchem związkowym, z funkcjonowaniem uczelni, jak i zagadnień natury ogólnej.*

• • •

Jolanta Zapałowska, Marek Koziara i Waldemar Żak zostali upoważnieni przez pracowników Instytutu Materiałoznawstwa i Technologii Metali PŁ do przedstawienia projektu nowego związku.

— *Stoimy na stanowisku, że należy stworzyć Niezależny Samorządny Związek Pracowników Szkolnictwa Wyższego i Instytucji Naukowych. Związek ten, wspólnie ze Związkiem Pracowników Oświaty i Wychowania, tworzyłby federację tych Związków ze wspólnym zarządem. Projekt ten został zgłoszony do Sekcji Nauki ZG ZNP.*

M. Koziara: — *W zasadniczych założeniach jesteśmy zgodni z naszymi kolegami z „Solidarności". Naszym celem jest przede wszystkim obrona praw pracowników. Różnimy się jednak w poglądach na kwestie prawne. Uważamy, że dokonując przekształceń w ramach istniejącej już Sekcji Nauki, będziemy mieli szybsze możliwości działania. Kierujemy się w tym przypadku poczuciem realizmu.*

W. Żak: — *Opracowaliśmy w trójkę projekt statutu nowego Związku. Sięgaliśmy przy tym do wielu starych dokumentów. Projekty statutów autorstwa zwolenników podobnych koncepcji powstały niezależnie od nas w Warszawie i Krakowie. Projekty te zostaną przedyskutowane, a decyzje zapadną na Krajowym Zjeździe Sekcji Nauki ZNP, w październiku br.*

M. Koziara: — *Statut „Solidarności" wydaje mi się doskonały dla pracowników zakładów przemysłowych. Specyfika uczelni jest jednak inna. Mamy inne zadania i problemy. Z informacji wynika, że koledzy, którzy zadeklarowali swą przynależność do „Solidarności", liczą się również z ewentualnością utworzenia sekcji zawodowej. Nie widzę przeszkód, aby w przyszłości powołać federację Związków Pracowników Nauki. „Solidarność" mogłaby przejąć inicjatywę. Ta idea zaczyna się dopiero krystalizować. Stoimy na stanowisku rozważnego działania i wykorzystania istniejących już możliwości.*

J. Zapałowska: — *Sądzę, że jest to droga do stworzenia silnego związku. Dotychczasowa praktyka wykazuje, że sekcje w ramach wielkich związków, jak np. Sekcja Nauki ZNP nie zdawała zupełnie egzaminu. Była zbyt słaba. Czy nie istnieje obawa, że to samo może spotkać sekcje zawodowe w ramach „Solidarności"?*

M. Koziara: — *Sekcje zawsze są słabsze. Powinniśmy dążyć do stworzenia silnego Związku Pracowników Szkół Wyższych i Instytucji Naukowych do osiągnięcia celu. Wydaje nam się, że trzeba wybrać najkrótszą drogę, a do tego niezbędna jest nam osobowość prawna, którą posiada już ZNP.*

J. Zapałowska: — *Jeśli ZG ZNP nie opowie się za utworzeniem Związku Zawodowego Pracowników Szkół Wyższych i Instytucji Naukowych, wówczas Sekcja Nauki zdecyduje się wystąpić do sądu z propozycją zarejestrowania naszego Związku jako odrębnej organizacji na terenie kraju.*

• • •

W Uniwersytecie Łódzkim członkowie prezydium Rady Zakładowej ZNP, wraz z prezesem doc. dr hab. Michałem Seweryńskim dysponowali czasem, a przede wszystkim szczerą chęcią spotkania się z dziennikarzem. Na mocy uchwały rozszerzonego plenum Rady Zakładowej ZNP z 30 września br. dotychczasowe prezydium pełni przejściowo funkcję reprezentanta interesów wszystkich pracowników na warunkach współpracy ze wszystkimi powstającymi związkami do momentu ukonstytuowania się nowej Rady Zakładowej UŁ, ale nie dłużej niż do końca października br. Instancja związkowa ZNP przeprowadziła we wrześniu sondaż opinii pracowników UŁ. 1.666 osób odpowiadało na następujące pytania:

1. Czy jesteś za istnieniem w Uniwersytecie Łódzkim organizacji związkowej w ramach ZNP i za dalszą działalnością jego uczelnianych organów, pod warunkiem dokonania w tym Związku głębokich przemian, zapewniających mu możliwość samorządnego i demokratycznego działania?

2. Czy jesteś za istnieniem w Uniwersytecie Łódzkim organizacji związkowej w ramach ZNP pod warunkiem zaistnienia w nim przemian umożliwiających samorządne i demokratyczne działanie pod warunkiem przeprowadzenia nowych, demokratycznych wyborów do jego uczelnianych organów?

3. Czy jesteś za rozwiązaniem dotychczasowej organizacji związkowej w UŁ i za utworzeniem organizacji nowej?

Za propozycją pierwszą opowiedziało się 75 osób, za drugą — 453 osoby, za trzecią — 962. Pracownicy Uniwersytetu uznali więc w większości potrzebę działania w niezależnym samorządnym ruchu związkowym. W tej sytuacji Rada Zakładowa ZNP uznała za konieczne ustąpić z dniem 30 września i do 9 października powołać komisję organizacyjną nowego związku.

— *Wydaje mi się* — mówi doc. dr hab. M. Seweryński — *że przebudowa ruchu związkowego w środowisku naukowym powinna polegać na stworzeniu podstaw Związku Zawodowego Pracowników Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Nie wyklucza to w przyszłości utworzenia federacji nowego związku ze związkiem obejmującym nauczycieli i wychowawców szkolnictwa innych szczebli w ramach ZNP. W ten sposób nowy związek miałby możliwość pełnienia roli niezależnej i samorządnej organizacji o charakterze twórczym i socjalnym, utrzymując jednocześnie współpracę z nauczycielami, z którymi jako nauczyciele akademiccy mamy wiele wspólnych zadań.*

• • •

W piątek, 3 października 1980 r. o godzinie 17, w auli Biblioteki Uniwersyteckiej, odbyło się walne zebranie delegatów poszczególnych wydziałów Uniwersytetu.

W auli było tłoczno. Oprócz delegatów, przybyło sporo obserwatorów, gdyż zebranie miało charakter otwarty. Na widocznym miejscu przezroczysta skarbonka z napisem *„Na pomnik stoczniowca"*. Organizatorzy rozdają kartki z propozycją porządku dziennego obrad. Projekt zawiera 20 punktów.

Zebranych wita Mieczysław Puchała, członek Komisji Założycielskiej nowych związków. Informuje, że na zebranie przybyli koledzy z prezydium NSZZ „Solidarność" w Politechnice Łódzkiej. Zwracają się oni z pytaniem do zebranych, czy wyrażają zgodę na ich udział w zebraniu w Uniwersytecie. Odpowiedzią są oklaski. Dowiadujemy się również, że rektor uczelni, prof. dr hab. Romuald Skowroński przyjął zaproszenie na zebranie, nie mógł jednak na nie przybyć, gdyż o tej samej porze reprezentował Uniwersytet na inauguracji roku akademickiego w Akademii Medycznej.

Prawie pół godziny trwały wybory przewodniczących zebrania, protokolantów i komisji wnioskowej.

Zebrani zgłaszali zastrzeżenia co do porządku obrad.

Przedstawicielka Wydziału Prawa i Administracji: — *Proponuję wycofać z porządku obrad punkt 13, który mówi o przyjęciu statutu „Solidarności". Uważam, że jeszcze na to za wcześnie. Statut nie został zatwierdzony. Jeśli mamy dążyć do założenia silnego związku, to powinien to być nasz związek a nie dołączony do innego. Tu nie chodzi o demonstrację, ale o możliwość wyboru. Nie możemy w tej chwili przesądzać sprawy.*

Przedstawiciel Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi: — *Właśnie nasze zebranie ma ustalić, czy będziemy głosować za statutem „Solidarności", czy za naszym własnym. Jako delegaci wydziału jesteśmy upoważnieni do głosowania wyłącznie na statut „Solidarności".*

Przedstawiciel Wydziału Prawa i Administracji: — *A my wprost przeciwnie. Nasi wyborcy nie upoważnili nas do tego. Proponuję zatem ponowić pytanie, czy chcemy jednego związku czy kilku.*

Przedstawiciel Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego: — *Ależ to duże nieporozumienie. Nasz ruch od początku solidaryzował się z Gdańskiem. Wiele wydziałów opowiedziało się już za statutem „Solidarności". Wszelkie inne sugestie uważamy za działalność rozbijacką.*

Przedstawicielka Wydziału Prawa i Administracji: — *Proszę państwa, proszę nam nie imputować takich postaw. Jesteśmy upoważnieni przez kolegów z wydziału do głosowania wyłącznie na własny statut. Mamy prawo domagać się stworzenia silnego związku o charakterze twórczym, który byłby partnerem dla władz uczelni.*

Debata nad porządkiem obrad trwała trzy godziny. Zgodnie z przyjętym programem, przewodniczący zebrania, Jerzy Kropiwnicki, udzielił głosu przedstawicielowi Politechniki, Lechowi Brzeskiemu. Informując o przebiegu zebrania i ukonstytuowaniu się Komitetu Założycielskiego NSZZ w Politechnice, Lech Brzeski m.in. powiedział: — *Porządek obrad nie stanowił dla nas żadnego problemu*, co sala przyjęła oklaskami.

— *A jakie były przyczyny dzisiejszego strajku?* — padło pytanie z sali.

— *Przyszedłem tutaj, aby informować a nie agitować* — odpowiedział L. Brzeski. — *Szczegółowe informacje na ten temat można przeczytać na tablicach informacyjnych w kilku punktach Politechniki.*

Zabrał również głos Grzegorz Palka, członek MKZ NSZZ województwa łódzkiego. Przekazał on informacje z Gdańska oraz powiedział krótko o pracach MKZ w Łodzi, którego siedziba mieści się przy ul. Sienkiewicza 63.

— *MKZ potrzebuje inteligencji do pracy społecznej* — powiedział między innymi. — *Politechnika już to zrozumiała, PAN również zgłosił swój akces do „Solidarności". Mamy okazję stworzenia silnego związku. Jest to dla nas wielka szansa.*

Zebranie trwa. Do godziny 22 uczestnicy informują o wynikach głosowania na poszczególnych wydziałach. Większość opowiedziała się za statutem „Solidarności". Wiele czasu zajmuje wyjaśnienie kwestii prawnych. Następnie zostaje odczytany statut „Solidarności" i głosowanie za utworzeniem Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego. W jawnym głosowaniu większość opowiada się za stworzeniem takiego związku. Zebranie kończy się o 1.30 w nocy.

• • •

W poniedziałek, 6 października, o godzinie 8.30, w kawiarni Biblioteki Uniwersyteckiej, odbyło się zebranie Zarządu NSZZ przy Uniwersytecie Łódzkim. Przewodniczący Tymczasowego Zarządu, Jerzy Kropiwnicki, informuje, iż do zarządu weszli: Stefan Niesiołowski, Mieczysław Puchała, Grzegorz Bartosz, Jerzy Mankiewicz, Agnieszka Salska i Marek Zelazo oraz przewodniczący komisji założycielskich ze wszystkich jednostek organizacyjnych uczelni.

Zebrani przyjęli statut „Solidarności". Ustalono również, że delegaci Wydziału Prawa, którzy nie byli upoważnieni do głosowania, ponownie rozpatrzą na wydziale kwestię przynależności do nowych związków zawodowych.

— *Zostaliśmy zobowiązani* — powiedział J. Kropiwnicki — *do powołania komisji statutowej, która opracuje statut sekcji zawodowej pracowników nauki w ramach „Solidarności". Przyjęliśmy także uchwałę dotyczącą działalności związkowej, spraw pracowniczych i ustroju szkół wyższych. Wraz z wnioskami napływającymi do komisji wnioskowej uchwała będzie stanowić podstawę do opracowania programu. Zostaliśmy również zobowiązani do nawiązania kontaktów z innymi szkołami wyższymi i organizacjami związkowymi.*

• • •

Zebranie trwało nadal, a ja, śpiesząc do redakcji, przypomniałam sobie pierwsze słowa z artykułu, popularnego w roku 1956 tygodnika studentów i młodej inteligencji, który dzisiaj stanowi dla mnie niezmiernie interesującą lekturę: *„I cóż dalej, szary człowieku* — pisał tygodnik „Po Prostu" w listopadzie 1956 roku. — *Wykłóciłeś się, wywiecowałeś i zaproponowali ci jedność organizacyjną. A cóż dalej?*

Przygotowała:
MAŁGORZATA GOLICKA

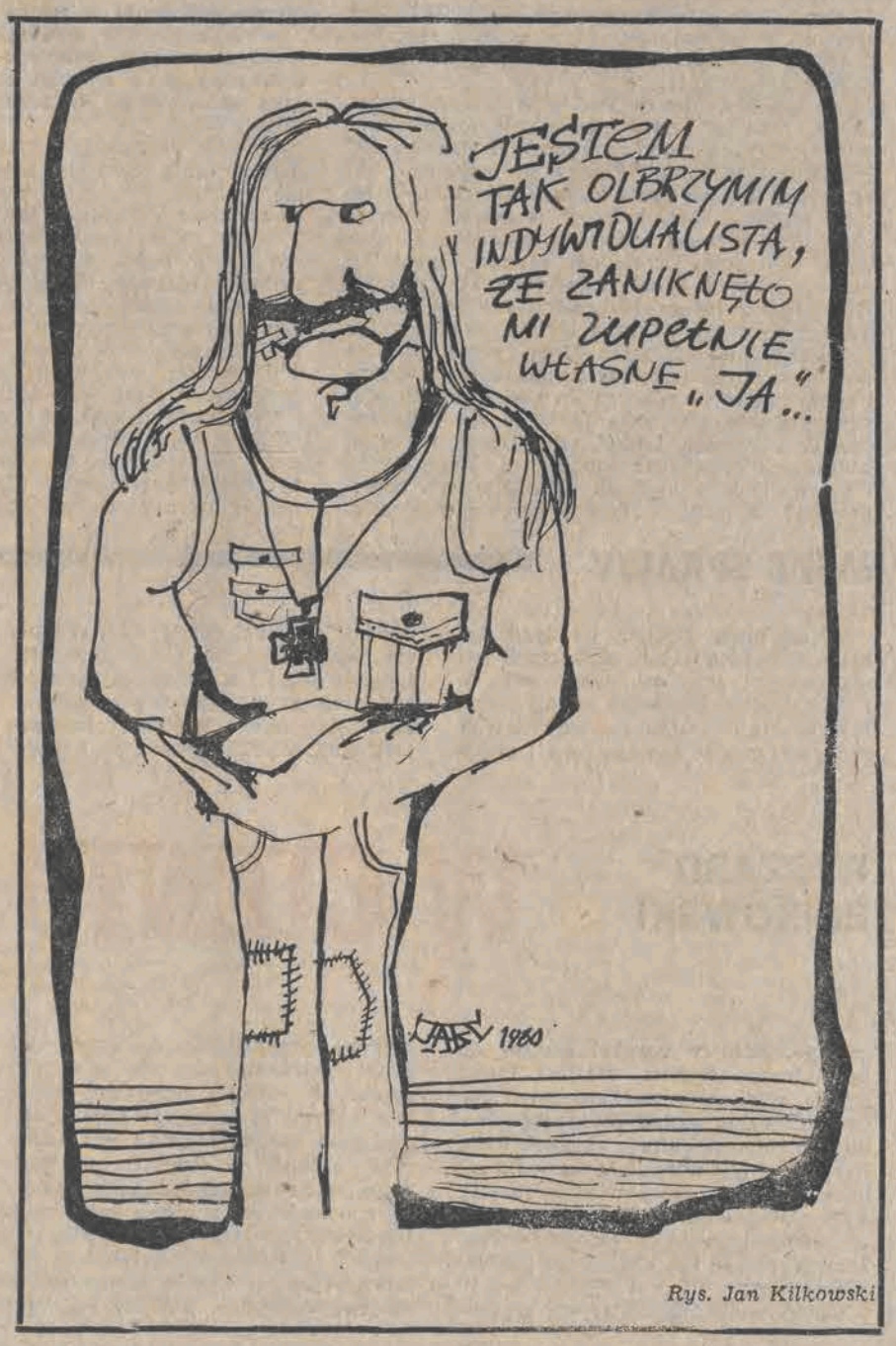

Rys. Jan Kilkowski

Foto: R. Łucyszyn

LUDZIE UCZĄ SIĘ DEMOKRACJI

Dalszy ciąg ze str. 1

jestem niepotrzebna. Nowe związki gwarantują mi ochronę prawną.

— Jeśli w statucie związku branżowego będą takie same gwarancje obrony prawnej interesów robotnika, to czy warto zaprzepaszczać dotychczasowy dorobek, po to tylko, aby tworzyć nowe związki?

— Nie rozumiem, dlaczego mamy cokolwiek zaprzepaszczać. Wszystko, co posiadamy, co zrobił dla nas zakład i Rada Zakładowa jest nasze wspólne, całej załogi. I nadal pozostanie.

— Nikt nikogo nie zmusza, aby zapisywał się do nowych związków. Ludzie sami przychodzą i podpisują listy. Mamy już 2.500 podpisów. Dalej się podpisują.

— Nie można powiedzieć, że do tej pory związki zawodowe nic nie robiły. Załatwiono mieszkania, mamy oddział pracy chronionej, ośrodki wczasowe.

— Ale czy to są osiągnięcia tylko Rady Zakładowej?

— Co nas dzieli? Cele mamy wspólne. Będziemy mieli jedną ustawę o związkach zawodowych Czy znacie stary statut? Tam są takie stwierdzenia, które i nowym związkom będą się podobały.

— Tyle lat tu pracuję, tyle lat jestem w związku, a jeszcze nigdy nie widziałem statutu. Nikt mi go nie pokazał, nie zachęcał, abym się z nim zapoznał. Dlaczego?

— Mam konkretną propozycję. Wybieramy jutro nową Radę Zakładową. Wybory będą powszechne. Wybierzemy też przedstawicieli nowych związków.

— Według jakiego statutu? My chcemy, aby radę wybierała cała załoga, a nie tylko delegaci.

— Poczekajmy z wyborami. Będzie ustawa o związkach zawodowych. Odbędzie się zjazd włókniarzy. Niech ludzie poznają wszystkie dokumenty. Niech decydują o swojej przynależności z pełną świadomością

— Niech o wyborach zadecyduje cała załoga.

W pewnym momencie dyskusji wyniknęła sprawa delegatów na zjazd ZZ Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego. Okazało się, że nie wszyscy wiedzą, kto na zjeździe będzie reprezentował załogę „Marchlewskiego".

— Dlaczego? Przecież zgłoszono kandydatów. Głosowano na nich. Nie wszyscy przychodzili na zebrania, więc do kogo teraz pretensje?

I zaraz kontrargument.

— To nie załoga wybierała delegatów. Nie ma więc gwarancji, że delegaci będą właściwie reprezentowali jej interesy na zjeździe. Trzeba, aby delegaci spotkali się z załogą, aby dowiedzieli się, jakie nurtują ją problemy, jakie ma sprawy, o których trzeba mówić na zjeździe.

Wybory delegatów odbyły się w kwietniu 1980 roku.

Zebranie dobiega końca. Sprawę jedności ruchu związkowego w „Marchlewskim" trzeba odłożyć na przyszłość. Więc jeszcze Mieczysław Krupa krótko informuje związkowców, tych starych i tych nowych o problemach produkcyjnych fabryki. Powoli rośnie wydajność, szybciej na tkalni, wolniej w przędzalni. Są kłopoty z surowcem.

Rozglądam się po sali. Ci z nowych i ci ze starych słuchają z jednakową uwagą. Interesuje ich to. Tak rodzi się współpraca — myślę sobie, ale też wiem, że nie będzie łatwa. Silne są jeszcze stare nawyki. Ludzie odzwyczaili się od samej myśli, że na jednej sali obok siebie mogą siedzieć ludzie należący do różnych związków w tej samej fabryce i debatować nad wspólną sprawą. Niektórzy w ogóle nie znają takiej sytuacji.

— Co pani o tym napisze? — pytają mnie po zebraniu i ci z nowych, i ci ze starych związków.

— Jeszcze nic — mówię — za mało wiem. Muszę sobie porozmawiać i z jednymi, i z drugimi Chciałabym też porozmawiać z dyrektorem.

Umawiam się więc, że wrócę do „Marchlewskiego" w środę, 1 października 1980 roku.

POSTULATY

Załoga „Marchlewskiego" strajkowała w sierpniu 1980 roku. W czasie strajku zgłoszono wiele postulatów. Jest ich bardzo dużo. Przeglądam te postulaty i zastanawiam się czy trzeba było aż strajku, aby o niektórych sprawach można było powiedzieć kierownictwu fabryki. A może wiedziano o tym, tylko opieszale różne sprawy załatwiano. Skargi na nieczytelny, zagmatwany system płac są powszechne. O niepełnej sprawności klimatyzacji w tkalni kierownictwo fabryki wiedziało, ale brakuje części zamiennych i aparatów klimatyzacyjnych. Jak tylko nadejdą przystąpi się do montażu. Ale, czy trzeba aż strajku, aby kierownictwo działu głównego energetyka zgodziło się szybko przyjąć sprzątaczkę do szatni, łazienki i wc? Czy trzeba aż strajku, aby można było żądać właściwego zaopatrywania mistrzów w narzędzia i części zamienne?

Jeden z postulatów brzmi niemal paradoksalnie:

„Wprowadzić, większe współdecydowanie mistrzów w podziale funduszu mistrzowskiego".

Cóż to więc za fundusz mistrzowski, o podziale którego nie decydowali mistrzowie?

Ale są też postulaty, które wskazują, że nie wszystko dobrze działo się w fabryce. Oto one w pełnym brzmieniu, tak jak zostały zapisane w odpowiednim dokumencie.

„Poprawić organizację pracy w zakładzie".

„Oficjalnie ogłaszać premie wszystkich pracowników przez wywieszanie list".

„Organizować spotkania dyrekcji z załogą na temat rytmiczności wykonywania planów i całej organizacji pracy".

„Odznaczenia państwowe winno otrzymywać więcej robotników niż pracowników administracji."

„Dokonać wyboru nowych przedstawicieli robotników do KSR."

Są też postulaty w sprawie związków zawodowych.

„Utworzyć nowe związki zawodowe niezależne od administracji państwowej."

„Żądamy wyborów nowej rady zakładowej i rad oddziałowych w tajnych wyborach."

Do postulatów tych ustosunkowało się kierownictwo fabryki. W dokumencie, jaki w wyniku tego powstał, zapisane jest też stanowisko kierownictwa fabryki wobec dwóch ostatnich postulatów. Oto, jak ono brzmi:

„Postulat utworzenia związków zawodowych niezależnych od administracji państwowej jest w końcowej fazie rozmów pomiędzy komisją rządową a strajkującymi Wybrzeża W tej sprawie akceptujemy rozwiązanie, jakie zostanie osiągnięte. Wybory do rady zakładowej i rad oddziałowych zostaną przeprowadzone zgodnie z postulatami załogi w późniejszym terminie wspólnie uzgodnionym."

Jak z tego wynika, w „Marchlewskim" nowe związki, jak się je zwykło w skrócie nazywać, nie powinny mieć żadnych trudności. A jednak. Taki wniosek odniosłam przysłuchując się poniedziałkowemu zebraniu.

ROZMOWY

W środę najpierw poszłam do Rady Zakładowej. Czekały tam na mnie przewodnicząca Lucyna Gruchała i przewodnicząca Rady Oddziałowej Tkalni, Urszula Dworniczak. Nie jestem w stanie przytoczyć całej rozmowy. Po prostu dlatego, że zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Z konieczności więc skrótowo najistotniejsze wypowiedzi.

Lucyna Gruchała: *— Mogą w fabryce istnieć dwa związki. Respektujemy postanowienia gdańskie. Współpraca już się zaczęła. Jak na razie rada jest jedna. Czy będą dwie, nie wiem. Nie przeszkadzamy nowym związkom w działalności. Proponowaliśmy wybory, załoga mogłaby się wtedy określić, ale nie zgodzono się, bo nie ma zastrzeżeń do ludzi, są tylko do struktury organizacyjnej. Nikt do dziś nie potrafił nam dać argumentów, które by nas przekonały, że nowe związki będą takie, na które ludzie czekają. Kogo mają bronić i przed czym.*

Urszula Dworniczak: *— Dla mnie tych dwa i pół tysiąca ludzi, którzy zapisali się do nowych związków dopiero wówczas będzie realne, kiedy wyciągną ode mnie deklaracje. Ze starych związków nikt się przecież nie wypisywał. Ja wiem, że teraz wszystko jest przejściowe, że to się jakoś unormuje, ale to przeszkadza załodze. Są dyskusje przy maszynach. Wielu pracuje solidnie. Ale inni, zamiast pracować, agitują.*

Albo sprawy socjalne. Kto teraz będzie dysponował na przykład ośrodkiem wczasowym? Ja nie wiem. To jest nasz wspólny, tak jak i wiele innych wspólnych osiągnięć. Robiliśmy to wszystko, co mamy z różnych funduszy. Jak to teraz podzielić? Przepiłować na połowę?

Lucyna Gruchała: *— Bardzo trudno jest teraz pracować. Bardzo źle się czujemy. Na nas wylała się cała gorycz załogi. Mnie to bardzo podłamało. Mam już dość pracy społecznej. Ale pracować trzeba. Ludzie nadal mają różne sprawy i ktoś im to musi załatwiać.*

Urszula Dworniczak: *— W radach oddziałowych jest jeszcze trudniej. Najbardziej smuci mnie to, że tylu ludziom załatwiliśmy różne sprawy: mieszkaniowe, socjalne, życiowe, ale jak był strajk nikt o tym nie pamiętał, tylko wszyscy mówili, że związki nic nie robią. A przecież są dokumenty na to, cośmy do tej pory zrobili.*

Komitet Założycielski Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność" ma swoją siedzibę w biurach tkalni, tuż obok Rady Oddziałowej. W skład prezydium Komitetu Założycielskiego wchodzi 14 osób. Łączy ich jedność poglądów. Nieważne jest kto przewodniczy, kto kogo zastępuje. Dlatego, aby nie wymieniać nazwisk, bo to będzie cała lista, po co to, będziemy rozmawiali kolektywnie. Po wyborach będzie inaczej. Relacjonuję więc poszczególne wypowiedzi niejako anonimowo i też nie przytoczę wszystkiego, z tego samego powodu co wyżej.

— 9 września było pierwsze posiedzenie Rady Zakładowej, poszerzonej o gości i rencistów. Ze starych było z 200 osób. Nas — 10. Nie zgodziliśmy się na głosowanie, jakie związki mają być w fabryce, bo to było niesprawiedliwe.

— Nam chodzi o to, aby było demokratycznie. Musi decydować cała załoga. I to jest technicznie możliwe. Nie będzie przeszkadzało w pracy.

— Większość z nas jest członkami partii. Nie dzielimy ludzi na partyjnych i bezpartyjnych.

— Zarzuca się nam, że niegodnie reprezentujemy zakład, bo jesteśmy bumelantami i mamy krótki staż pracy. A to nieprawda. Niektórzy pracują tu 23, 21, 16, 10 lat. Nie jesteśmy pieniaczami.

— W obronie robotniczych interesów będziemy opierać się na statucie. Jeśli chodzi o świadczenia: pożyczki, zapomogi, wczasy, mieszkania, to tym powinien zajmować się dział socjalny fabryki. Zadaniem związku zawodowego powinna być obrona interesów robotnika i kontrola, jak dział socjalny pracuje. Statut „Solidarności" dostaliśmy dopiero niedawno. Chcemy, aby go wszyscy poznali.

— Dużo ludzi jeszcze nie wie, o co chodzi nowym związkom. Ale jest gazeta zakładowa. Nam też przysługuje prawo, aby tam pisać o naszych sprawach. Jest radiowęzeł. Można transmitować obrady na te wydziały, gdzie to nie przeszkadzałoby w pracy i gdzie można słuchać, bo nie ma takiego hałasu. Niech ludzie wiedzą, jak i co mówi się o ich sprawach.

— Przyszła Rada Zakładowa powinna składać się z przedstawicieli różnych organizacji działających w zakładzie. Przez naszych przedstawicieli będziemy mieli wpływ na jej pracę.

— Był tu kiedyś taki związkowiec z krwi i kości, Stanisław Szymoniak. On umiał docierać do ludzi. Jak był strajk w 1971 roku, to on nie bał się być z nami. Pisał postulaty. Włos mu za to nie spadł z głowy.

— Zgłosiliśmy akces do MKZ „Solidarność" w Łodzi. Czekamy na wpisanie do rejestru.

— Po tym pierwszym plenum rady, 9 września, byliśmy załamani. Zrelacjonowaliśmy przebieg obrad załodze. Wtedy zaczęły napływać do nas listy z podpisami. Jest ich cały plik. To nas podtrzymało na duchu. Do momentu rejestracji nikogo formalnie do NSZZ nie zapisujemy. Zgłoszenia traktujemy jako sondaż.

— Z wyborami musimy poczekać do ukazania się ustawy o związkach i Kongresu ZZ, jaki ma się odbyć w Warszawie. Po tym zjeździe załoga wypowie się kogo będzie popierała.

A co o tym myślą ludzie? Na 8 zagodniętych ludzi tylko jeden odmówił rozmowy. Inni powiedzieli:

Zofia Ziółkowska: *— Nie mam zastrzeżeń do osób, które pracowały w starych związkach, ale mam nadzieję, że nowe będą lepsze.*

Wacław Walczak: *— Ja narzekać nie mogę, jak coś było potrzeba, aby mi załatwić, to mi załatwiono. Jak będzie w nowych, nie wiem.*

Jadwiga Darnowska: *— Do związku zapisali mnie jeszcze w szkole Statutu nigdy nie widziałam. W nowych może będą sprawiedliwsze składki. I może będę wiedziała na co idą te pieniądze.*

Daniela Włodarczyk: *— Półtora roku temu wypisałam się ze związków. Mieszkam w Koluszkach, ta wczasów nie potrzebuję. Jak mi umarł ojciec, to mi powiedziano, co mi się należy. O nowych jeszcze za wcześnie, aby coś powiedzieć.*

Jadwiga Pawełek: *— Liczę, że w nowych będą się bardziej interesowali człowiekiem, że będzie bliższy kontakt. Do tej pory mówiło się o różnych rzeczach, zapisywano sobie i nic z tego nie wychodziło.*

Stefan Zimoń: *— Myślę, że w nowych będzie więcej informacji o tym, co się dzieje w zakładzie, że będzie więcej troski o pracownika.*

Piotr Kmiecik: *— Stare były złe Załatwiano ziemniaki, jabłka, ale nie ważniejsze sprawy. W zakładzie są wczasy do Bułgarii, czy NRD, ale nie dla wszystkich. Dla nas Teofilów raz na 5 lat. Jak był „prywatny" rzeźnik w zakładzie, to robił paczki dla tych, co wyżej. Po strajku już go nie ma Jak ludzie z fabryki składają podania o mieszkanie, to trzeba jawnie dzielić, przy wszystkich zainteresowanych. Inaczej będą kanty.*

A co myśli o tym naczelny dyrektor, Mieczysław Krupa? Niestety, nie mogę o tym poinformować Czytelników, gdyż mimo moich usilnych starań o rozmowę z dyrektorem, nie udało mi się to. Przez trzy dni dobijałam się o rozmowę z dyrektorem Mieczysławem Krupą. Ale był zajęty i nie miał dla mnie nawet kilku minut, mimo że byłam w fabryce prawie 8 godzin.

Nie udało mi się również porozmawiać z I sekretarzem KZ PZPR — Krzysztofem Żebrowskim. Był nieobecny. Drugi sekretarz, Anna Starzyńska przez cały czas, kiedy czekałam w sekretariacie, miała gościa „z zewnątrz", a później spieszyła się na zebranie. Po drodze też nie miała czasu na rozmowę, gdyż odprowadzała gościa „z zewnątrz" do fabrycznej bramy.

PRZED STRAJKIEM

MKZ NSZZ „Solidarność" w Gdańsku ogłosił na 3 października 1980 roku godzinny strajk ostrzegawczy. Jaki był stosunek KZ NSZZ „Solidarność" w ZPB im. J. Marchlewskiego do tego strajku?

— Dowiedzieliśmy się o tym dość późno. Nie mieliśmy czasu, aby poznać pogląd całej załogi. Rozmawialiśmy tylko z częścią robotników. Zdania były podzielone. Obawialiśmy się, że przystąpienie do strajku, bez aprobaty większości załogi, może nam pogorszyć sytuację w zakładzie. Straconą godzinę można byłoby odrobić, ale to nie o to tylko chodzi. Wieczorem idziemy na zebranie MKZ i tam zapadnie decyzja.

Załoga ZPB im. J. Marchlewskiego — jak wiemy — nie przerwała pracy. Solidaryzowała się ze strajkiem wywieszając flagę. Teren fabryki został też zabezpieczony przez straż robotniczą.

REFLEKSJA

Starałam się przedstawić sytuację w „Marchlewskim" możliwie obiektywnie. Sądzę, że Czytelnik wyciągnie z tego odpowiednie wnioski Ja chciałabym dodać tylko tyle: ludzie uczą się demokracji. Jest to bardzo trudna nauka.

BOGDA MADEJ

CHODZI NAM O WSPÓLNE DOBRO POLAKÓW

Rozmowa z przedstawicielami prezydium Komitetu Założycielskiego NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" w Łodzi

Był to najbardziej niecodzienny wywiad, jaki przyszło mi przeprowadzać w mojej dziennikarskiej karierze. Wywiad dokonany na raty, jeśli tak można to określić, zawsze na stojąco i w trzech różnych miejscach. Klimat tej rozmowy odbytej 2 października, przerywanej co chwila przez petentów, najpełniej oddałaby kamera filmowa.

„ODGŁOSY": — Jak panowie określacie „na dziś" cele związku „Solidarność"?

ANDRZEJ SŁOWIK, — przewodniczący KZ NSZZ „Solidarność": — Był pan na naszym nadzwyczajnym zebraniu, więc chyba nietrudno przyjdzie to panu zrozumieć. Najważniejszą sprawą dla nas wszystkich jest dotrzymanie i pełne respektowanie porozumień z Wybrzeża i Śląska. Nie wszędzie bowiem dokument ten wzbudza entuzjazm.

„ODGŁOSY": — Ma pan na myśli środowiska robotnicze?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Mam na myśli taktykę administracji różnych szczebli. W małych zakładach nasze inicjatywy natrafiają na opór. Trudna jest też sytuacja komitetów założycielskich w małych, najczęściej słabo uprzemysłowionych regionach. Spodziewaliśmy się, że nikt nam nie wysypie drogi różami, ale natrafiamy w całym kraju na próby ominięcia porozumień gdańskich. Nadgorliwcy piastujący różne urzędy wykorzystując sytuację, że wciąż jeszcze jesteśmy tylko konfederacją komitetów założycielskich i nie posiadamy osobowości prawnej, używają rozmaitych wybiegów, aby uniemożliwić albo sparaliżować naszą działalność. Widocznie czekają na okólniki, które są dla nich ważniejsze niż to, co zdarzyło się w Gdańsku. Poza tym, w wielu instytucjach wciąż jeszcze nie zostały rozwiązane w sposób zadowalający problemy płacowe, a tam, gdzie były podwyżki, nie przeprowadzano konsultacji. Takie postępowanie administracji także nie jest zgodne z duchem porozumienia gdańskiego, niepotrzebnie wywołuje nowe napięcia i rozgoryczenie robotniczych załóg. Zależy nam na spokoju bardziej niż komukolwiek, ale nie możemy biernie przyglądać się tym faktom. Chcemy także aby nasze sprawy rzetelniej przedstawiała prasa, skoro nie mamy jeszcze własnych możliwości docierania do ludzi za pomocą słowa drukowanego, a w prasie, za wyjątkiem Wybrzeża, gdzie dysponujemy własnymi kącikami w dziennikach, za dużo jest przeinaczeń. Liczymy bardzo, że rejestracja sądowa naszego związku, zmieni tę sytuację na lepsze, ale stan tymczasowy jeszcze trochę potrwa.

„ODGŁOSY": — A jak ocenia pan stosunek łódzkich władz do waszego związku?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Spodziewałem się tego pytania i powiem krótko, że władze łódzkie ani nie są przeciw naszym działaniom, ani ich też nie popierają. Nie mamy konfliktów, ale różnimy się w podejściu do sprawy. Władze działają w oparciu o stare metody i przepisy, a my działamy w oparciu o porozumienia gdańskie. W każdym razie władze w Łodzi, a konkretnie prezydent Józef Niewiadomski, deklarują dobrą wolę, choć naszym zdaniem w wielu kwestiach można by pójść dalej.

„ODGŁOSY": — Jak należy rozumieć to pójście dalej?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Myślę tu przede wszystkim o dostępie do poligrafii. Wszystkie nasze druki są dzisiaj jedną wielką prowizorką, chwytamy się dosłownie wszystkich możliwości, jakie są pod ręką. Uważamy, że powinno dojść do spotkania z władzami politycznymi, że prezydent Niewiadomski nawet przy najlepszej woli sam wszystkiego nie załatwi. W innych regionach doszło do podobnych spotkań, z pożytkiem dla wspólnej sprawy, którą jest jak najszybsze wyprowadzenie kraju z kryzysu. Myślę, że wyjaśnienie sobie stanowiska w tej kwestii byłoby pożądane. Tym bardziej, że w niektórych zakładach wypowiadają się nieprzychylnie o naszym związku. Służę świeżym przykładem z naszego zebrania nadzwyczajnego, gdzie przedstawiciele Zakładu Zaopatrzenia Rolnictwa skarżyli się, że sekretarz nazwał ich grupą działającą na szkodę zakładu, a nawet państwa i inspirowaną z zewnątrz.

W Ośrodku Doskonalenia Przemysłu Lekkiego „DOSKO" próbuje się stworzyć wokół komitetu założycielskiego atmosferę niechęci, nie lepiej jest w Zakładzie Sieci Ciepłnej. Nasza komisja interwencyjna służy pełnym kompletem takich niepokojących sygnałów.

„ODGŁOSY": — A jaka jest sytuacja osobista członków prezydium waszego komitetu założycielskiego? Praca w związku zajmuje chyba wiele czasu?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Jestem, jak panu wiadomo, kierowcą autobusowym, wziąłem urlop wypoczynkowy w MPK. Poinformowano mnie jednak, że mogę skorzystać z oddelegowania do pracy w związku i skorzystam z tej propozycji. Omawialiśmy tę sprawę na posiedzeniu naszego prezydium. Inni członkowie wzięli sobie urlopy bezpłatne w swoich macierzystych instytucjach, nie robiono im przeszkód. W przyszłości chyba i oni skorzystają z oddelegowania, trzeba poczekać na nową ustawę o związkach zawodowych.

„ODGŁOSY": — A inne sprawy techniczne? Mam na myśli lokal, pieczątki itp.

ANDRZEJ SŁOWIK: — Nie mamy jeszcze pieczątki, każde pismo muszę sygnować własnym autografem. Zastrzegam się natychmiast, że nie ma w tym najmniejszej winy władz, po prostu nie złożyliśmy zamówienia, nie wystąpiliśmy z odpowiednim pismem.

„ODGŁOSY": — Uczulenie antybiurokratyczne?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Może pan tak to nazwać, choć oczywiście w przyszłości nie obejdziemy się bez pieczątki. Ale i władze mogą odnotować na swoim koncie posunięcia antybiurokratyczne. Na przykład prezydent Niewiadomski przyznał nam lokal jeszcze przed rejestracją. To właśnie ten lokal, po klubie techniki i racjonalizacji, przy Sienkiewicza 63. Jak pan widzi wprowadziliśmy się tutaj tak szybko, że nawet nie zdążyliśmy zrobić remontu. A trzeba go będzie odmalować, trzeba będzie wycyklinować podłogi. Nie posiadamy także, jak pan zresztą widzi, żadnych mebli i dlatego przepraszam, że nie wskazuję panu miejsca. Kiedy chcemy napisać coś na maszynie, stawiamy ją na blacie pieca akumulacyjnego. Ale ta prowizorka nie potrwa długo. Najważniejsze, że lokal jest spory, ma 182 m kw. Decyzja o jego przyznaniu opiewa na NSZZ „Solidarność".

„ODGŁOSY": — A jak układają się wasze stosunki z dawnymi związkami?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Na razie nie ma żadnej współpracy, na żadnym szczeblu, nie przeprowadzaliśmy bowiem z nikim żadnych rozmów. Ale otrzymaliśmy taką propozycję od zarządu głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego i dlatego rozszerzyliśmy prezydium o przedstawiciela ZPB im. J. Marchlewskiego, aby lepiej przygotować się do rozmów. Chcielibyśmy porozumieć się przede wszystkim w sprawie funduszy ze składek członkowskich. Sprawy głębszej współpracy trzeba będzie odłożyć na później, bo zasady tej współpracy trzeba będzie dopiero dokładnie określić. Nie będzie to chyba możliwe przed wejściem w życie nowej ustawy o związkach zawodowych, która najprawdopodobniej określi także ramy takiej współpracy.

„ODGŁOSY": — Ilu pracowników zrzesza aktualnie NSZZ „Solidarność" w Łodzi?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Niestety nie mamy jeszcze pełnego rozeznania, wiele komitetów założycielskich dopiero się tworzy, w wielu bez przerwy napływają nowe deklaracje. Nie mamy do tej pory list imiennych, są to tylko listy sondażowe. Wiemy natomiast, że w niektórych zakładach chęć wstąpienia do naszego związku zgłosiło ponad 50 proc. pracowników. Są i takie instytucje, gdzie zgłasza się do nas 90 proc. pracowników. Pełnymi danymi będę mógł służyć, kiedy trochę okrzepniemy. Do tej pory istnieją lub tworzą się komitety założycielskie w ponad 120 zakładach. Ale w dalszym ciągu ludzie przychodzą po podstawowe informacje.

„ODGŁOSY": — Czy to znaczy, że prasa niedostatecznie informuje o waszych działaniach?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Nie ma co sobie mydlić oczu. W prasie nie ukazuje się to, co mamy do powiedzenia i przekazania społeczeństwu. Nie mamy własnych organów prasowych. Jest to błąd, który pociąga za sobą złe konsekwencje w postaci niedoinformowania. A niedoinformowanie było przecież cechą minionego etapu.

„ODGŁOSY": — Skoro już jesteśmy przy minionym etapie. Czy nie obawiacie się, że Krajowa Komisja Porozumiewawcza przekształci się z czasem w nową CRZZ?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Wszystko zależy od ludzi, choć na pewno trzeba zachować ostrożność. Założenia są jasne i trzeba o nich przestrzegać. Krajowa Komisja Porozumiewawcza jest tylko ciałem konsultatywnym, omawiamy w niej, przy pełnej samodzielności, zasady współdziałania związków terenowych. Chodzi o to, żeby nie zrobiła się czapa, która związki terenowe nakryje.

(W tym momencie wchodzi jeden z przedstawicieli prezydium i zwraca się do Słowika: „Nie daj sobie zawracać głowy wywiadami, bo są sprawy ważniejsze". Słowik przeprasza i wychodzi, umawiając się ze mną na godzinę 15. Z dziennikarzem zostaje członek prezydium Maciej Borowicz, z zawodu kierowca, pracownik III Oddziału PKS).

„ODGŁOSY": — W jaki sposób pracuje wasze prezydium?

MACIEJ BOROWICZ: — Każdy z nas zajmuje się określoną grupą problemów. W dyskusji wypracowujemy wspólne stanowisko. Ja zajmuję się sprawami branżowymi. Chodzi tu przede wszystkim o strukturę naszego NSZZ, podział uwzględniający różne interesy różnych grup pracowniczych, przy pełnej niezależności. Ta nasza branżowość w przyszłości będzie dotyszyć także zasad współpracy z dawnymi związkami branżowymi. Jak pan wie otrzymaliśmy propozycję spotkania od przedstawicieli Związku Włókniarzy, który wystąpił ostatnio z CRZZ. Z propozycji tej skorzystamy. Wychodzimy jednak z założenia, że to oni powinni wysunąć propozycję, które ja przedstawię potem naszemu prezydium.

„ODGŁOSY": — Wziął pan urlop bezpłatny?

MACIEJ BOROWICZ: — Tak jest. Ale liczymy się z tym, że w najbliższym czasie zostanie rozwiązana sprawa wynagrodzeń, bo nie jesteśmy milionerami. Ja tu pracuję dużo więcej niż jako kierowca samochodu ciężarowego na dalekich trasach. Tu pracujemy wszyscy po osiemnaście godzin na dobę. Jestem optymistą i sądzę, że będzie jeszcze wiele trudności, ale uda się je rozwiązać, zgodnie z założeniami Komitetu Założycielskiego. Na pewno najwięcej wysiłku trzeba będzie poświęcić poblemom organizacji. My chcemy korzystać przede wszystkim z pracy społecznej. Nie wyobrażamy sobie, aby nasi aktywiści siedzieli za biurkiem i grzali stołek. Byłem członkiem komitetu strajkowego w III Oddziale PKS. W czasie strajku był porządek, ludzie dawali z siebie dosłownie wszystko. Te doświadczenia organizacyjne zdobyte w strajku chcemy przynieść do naszej pracy.

„ODGŁOSY": — W jaki sposób prezydium osiąga jednomyślność?

MACIEJ BOROWICZ: — Jeśli ktoś z nas ma odmienne zdanie, musi je jasno wyrazić i uzasadnić. Wtedy sprawy rozpatrujemy od nowa, starając się ustalić wspólne stanowisko. Jeżeli nie możemy jakiegoś problemu rozstrzygnąć, to zwracamy się do ekspertów, którzy muszą nam przedstawić swój punkt widzenia. Chodzi głównie o zagadnienia prawne, na których się nie znamy, bo jesteśmy robotnikami. Mamy też specjalności w poszczególnych sekcjach. Eksperci pracują społecznie.

„ODGŁOSY": — Na wczorajszym zebraniu większością głosów proklamowaliście na piątek strajk. Jaki jest wasz stosunek do strajku jako formy walki?

MACIEJ BOROWICZ: — Chcielibyśmy, aby strajków nie było. Zależy nam na solidnej pracy i polepszeniu warunków życia ludzi. Strajki przynoszą nieodwracalne szkody, dlatego dążymy do tego, aby wszystko można było załatwić w drodze porozumień, na drodze niejako parlamentarnej. Nie zamierzamy występować ze sprawami niemożliwymi do załatwienia.

„ODGŁOSY": — Czy więc zapowiedziany na jutro strajk ostrzegawczy nie jest przedwczesny?

MACIEJ BOROWICZ: — Strajk ostrzegawczy nie jest przedwczesny. W podpisanych porozumieniach zostały jasno sprecyzowane terminy. Nie wszystkie zostały dotrzymane. Byliśmy przyzwyczajeni do tego jako społeczeństwo, że wiele nam obiecywano przez całe lata i nic z tego nie wynikało. To jest moje prywatne zdanie. W Gdańsku, na nadzwyczajnym zjeździe delegatów MZK, w którym uczestniczyłem, Lech Wałęsa stwierdził, że w wielu zakładach porozumienia nie są realizowane. Organizowanie związków spotkało się z przeszkodami. Rząd musi wywrzeć nacisk na niektórych dyrektorów w zakładach pracy. Spotykamy często także niechęć niektórych władz miejskich i wojewódzkich w różnych regionach kraju.

(Spotkanie o godz. 15 po powrocie Andrzeja Słowika od prezydenta Niewiadomskiego).

„ODGŁOSY": — Czy strajk ostrzegawczy nie jest przedwczesny?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Strajk jest akceptowany przez „Solidarność". Mimo to bierzemy pod uwagę, żest jest to groźne dla obu stron, bo komplikuje sytuację wszystkim. Przez strajk ostrzegawczy chcemy jasno wyrazić nasze stanowisko, nie możemy dłużej działać półśrodkami i prosić o respektowanie porozumień gdańskich. Pozwoli pan, że przytoczę dwa tylko punkty przyjętej wczoraj przez nas rezolucji i proszę, aby umieścił je pan w wywiadzie:

„Wyrażamy dojrzałą wolę zbudowania w Łodzi niezależnych związków zawodowych reprezentujących interesy załóg i czujących się pełnoprawnymi współgospodarzami naszego wspólnego dobra dla opanowania głębokiego kryzysu gospodarczego i uzyskanie poprawy bytu ludności w bliskiej perspektywie. Zademonstrowanie dobrej woli przez władze miasta i administrację gospodarczą może ten proces przyspieszyć.

Korzystając z uprawień związkowych organizacji regionalnych postanawiamy ograniczyć ostrzegawczy strajk solidarnościowy 3 października w godz. 12.00—13.00, jedynie dla Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. To znaczne ograniczenie naszej akcji traktujemy jako krok dobrej woli, a także z uwagi na rynkowy charakter łódzkiego przemysłu. Nasze obecne stanowisko nie przesądza stosunku do ewentualności strajku powszechnego zapowiedzianego po 20 października w oświadczeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej".

„ODGŁOSY": — Czy w czasie rozmowy zawiadomił pan prezydenta Niewiadomskiego o strajku?

ANDRZEJ SŁOWIK: — Powiadomiłem prezydenta o proklamowaniu strajku na jutro. Prezydent zobowiązał się, że nad bezpieczeństwem pojazdów unieruchomionych na szynach będą czuwali tym razem ludzie w mundurach MO. Będzie też nasza, robotnicza ochrona. Przedstawiliśmy też prezydentowi nasz punkt widzenia na to, że łódzka prasa codzienna zniekształciła naszą uchwałę. Prezydent stwierdził, że wystąpi o doinformowanie społeczeństwa o jutrzejszym strajku, o naszej rozmowie i naszym oświadczeniu. U prezydenta złożyliśmy też zapotrzebowanie na powielacz, na matryce woskowe. Obiecał zbadanie rozdzielnika tych środków. I w moim odczuciu sprawa będzie załatwiona. Jest bowiem naszą ambicją wydawanie własnego biuletynu MZK. Trudno tu mówić o jego charakterze i nakładzie, ale jest to po prostu niezbędne, aby nasze słowa nie były przeinaczane i wypaczane.

„ODGŁOSY": — Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Foto: K. Turowski

Dalszy ciąg ze str. 3

W CIENIU

części zamiennych, to w sianokosy można wykorzystać w tej gminie tylko 8 ciągników. Podczas spiętrzonych prac w czasie ostatnich żniw wyszły na jaw szczególnie rażące zaniedbania w mechanizacji produkcji i zbioru zbóż i pasz. Wyszło również na jaw, że chłop produkuje taniej niż gospodarstwo uspołecznione. Ale chłop pracował w żniwa po 20 godzin na dobę i w tym wypadku nie można kosztów produkcji obliczać w złotówkach, lecz w wartości włożonej pracy. To prawda, że mamy w kraju około 600 tys ciągników, ale za tą prawdą kryje się druga. Bo jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że część ciągników stoi z powodu braku ogumienia lub filtrów olejowych, że tysiące przyczep stoi bez opon i że ogólnie na jeden ciągnik przypada pół przyczepy, to pracować może niecała połowa ciągników z przyczepami. Jeżeli w gminie jest 30 ciągników i 10 kosiarek rotacyjnych, z których dwie są zawsze nieczynne z powodu braku maszyn i narzędzi, nawozów, środków ochrony roślin, materiałów budowlanych, folii i węgla. Retuszowano te braki, tłumacząc przyczynę niepowodzeń w rolnictwie dekoniunkturą na rynkach zagranicznych i złą pogodą.

„Propaganda sukcesu" przyczyniła się bezpośrednio do powstania mitu o nadmiernych dochodach wsi. A tymczasem w szufladach ekonomistów i socjologów leżały dane mówiące, że minimum socjalne dla czteroosobowej rodziny chłopskiej stanowi gospodarstwo o powierzchni 8—12 ha, ale pod warunkiem, że będzie to gospodarstwo w pełni zmechanizowane, wyposażone w budynki inwentarskie i dobrze zaopatrzone w środki produkcji. W kraju większość stanowią jednak gospodarstwa drobne, o powierzchni 5—6 ha. W różnych województwach ustanawiano różne taryfy na dozwoloną powierzchnię gospodarstwa specjalistycznego. Tu chłop mógł mieć tylko 25 ha, tam 30 ha, a w innym województwie jeszcze więcej. Tworzyły się kliki, panoszyło się sobiepaństwo i partykularyzm, preferowanie gospodarstw sektora państwowego, który otrzymywał więcej pasz, środków produkcji, a także gruntów z PFZ.

Jeden z naczelników powiedział mi, że nie byłoby problemu chłoporobotników, gdyby mogli pracować na miejscu, w gminie. Dojazdy po czterdzieści kilometrów męczą ludzi, drogo kosztują, a ziemia cierpi. Naczelnik widział w Holandii wsie, gdzie funkcjonowały małe zakłady, zatrudniające po kilka osób, w zależności od potrzeb. U nas nie trzeba wymyślać takich zakładów. Od zaraz przydałyby się w każdej gminie przetwórnie mięsno-warzywne i owocowe oraz suszarnie zboża, zielonek i ziemniaków.

— *To jeszcze ziemniaki w płatkach nam potrzebne?* — pytam.

— *Ten rok uczy nas, że tak. Ziemniaki w kopcach będą gnić. Parowane też dają straty. Tylko susz ziemniaczany można wykorzystać w całości.*

Naczelnik ma swoje marzenie, chce oszczędzać chłoporobotników. Inni jego koledzy bez skrupułów zabierali ziemię nie tylko chłoporobotnikom, ale i dobrym rolnikom, przekazując ją pegeerom lub eskaerom. Bywa, że na tej ziemi rosną teraz chwasty. Ale u niektórych rolników, którzy dostali grunt z PFZ, też rosną chwasty. To naczelnik nie wiedział, komu daje ziemię? Czemu nie spytał rolników, kto we wsi jest dobrym gospodarzem? Czemu nie współpracował z samorządem wiejskim? Bo samorząd wiejski w zasadzie nie istnieje. Nawet radnych wybiera się w gminie, bez konsultacji z rolnikami. Chłopi mówią: *„Dawali ziemię do pegeeru, bo się bali, że trafi w złe ręce. A młodym następcom nie boją się dawać, zaznaczając w dodatku, że następcy nie wolno sprzedać ziemi przez dziesięć lat? Jeśli nie ma zaufania do chłopa, to dajcie mu grunty z PFZ w dożywotnią dzierżawę, z taką klauzulą, że jak będzie źle uprawiał, zaniedbywał, to się mu odbierze".*

Dzięki bałamutnym zabiegom także chłop stracił zaufanie do władzy. Widziałem, jak kiedyś do jedynego w województwie sieradzkim elewatora zbożowego, z dwoma małymi zbiornikami, ustawiały się kilometrowe kolejki. Teraz, w drugiej połowie września nie widać długich rzędów furmanek. Wszyscy się zastanawiają, co ci chłopi wyprawiają, czemu nie pchają się z transportami do punktu skupu? Złośliwi twierdzą, że chłopi zamęczają teraz postulatami prezesów geesu. Żeby węgla było pod dostatkiem. Nie takiego przepisu, trzeba prosić o zgodę ministra. I dodaje, żeby chłopi poradzili mu lepiej, co zrobić, by nie niszczały maszyny SKR, bo to leży w ich interesie. A chłopi pytają z głupia frant, co ma piernik do wiatraka. A ma, ma! W geesie leży na placu eternit, z drugiej strony siatki stoją maszyny SKR pod wiatą bez dachu i leje na nie deszcz, ponieważ eternit wolno sprzedać tylko nabywcom prywatnym. Niedobrze, mówią chłopi. Ale cukru można by dać tyle będzie. Zaległości są tak duże, że górnicy nie zdążą wydobyć, a transport przewieźć. Wychodzi na to, że chłopi albo będą stać przez noc w kolejce, albo płacić po dwieście złotych wyspecjalizowanej w staniu prywatnej agentce.

Chłopi żądają cementu. A jak na placu leży cała sterta eternitu, to niech prezes sprzedaje rolnikom z tej gminy, gdzie eternitu nie ma. Biedny prezes tłumaczy, że nie ma

TERESA GUMIŃSKA: Mieliśmy dostęp zaledwie do dziesiątej części zgromadzonych środków...

GENOWEFA PAWLIK: Związki zawodowe były spychane na boczny tor...

Foto: R. Łucyszyn

MAŁYMI KROKAMI DO WIELKIEGO CELU

Rozmowa z przedstawicielkami prezydium Łódzkiej Rady Związków Zawodowych

„ODGŁOSY": Czy spodziewałyście się panie, że latem 1980 roku wybuchnie w Polsce tak głęboki kryzys społeczny?

GENOWEFA PAWLIK — przewodnicząca ŁRZZ: — Nie spodziewałam się, że w Polsce nastąpi tego rodzaju kryzys. Ponieważ jestem wieloletnią działaczką partyjną wiedziałam oczywiście, że w ostatnich paru latach zostało popełnione wiele błędów gospodarczych i wiele błędnych posunięć w polityce społecznej, nie przypuszczałam jednak, że kryzys przybierze tak ogromne rozmiary. Nie przypuszczałam także, że ostrze społecznego niezadowolenia skieruje się przeciw związkom zawodowym. Zawsze oczywiście stawiałam sobie pytanie, czy nie mogliśmy pracować lepiej. Bo chociaż to teraz niepopularne, muszę stwierdzić, że wiele robiliśmy w związkach, żeby poprawić położenie klasy robotniczej w dziedzinie materialnej i tego wszystkiego, co składa się na jakość życia. Niestety, niewiele z naszych postulatów było realizowane, niewiele z naszych ostrzeżeń znalazło chętnych słuchaczy. Bo trzeba sobie szczerze powiedzieć, że od związków zawodowych niewiele w ostatnich latach zależało, aby nasz wpływ na podejmowanie przez innych, na wyższych szczeblach decyzje był po prostu znikomy. Nasze opracowania trafiały na półki, nasze propozycje trafiały w próżnię. Związki zawodowe jako organizacja pracownicza były spychane na boczny tor. Dlatego, jako działaczce partyjnej i związkowej trudno jest mi się zgodzić z modną w ostatnich tygodniach opinią, czemu dała nawet wyraz „Trybuna Ludu", że to właśnie związki zawodowe przyczyniły się do kryzysu.

„ODGŁOSY". — Krytyka działalności związków zawodowych wychodzi nie tylko z prasy, wychodzi przede wszystkim ze środowisk robotniczych...

GENOWEFA PAWLIK: — Jestem krótko przewodnicząca ŁRZZ, ale to nie dlatego z gruntu jest mi obca filozofia tonącego okrętu, którą może spodziewał się pan tu usłyszeć. Byłam i jestem świadoma, że w krajach socjalistycznych rola związków zawodowych musi być nieco inna niż w krajach kapitalistycznych, choć nominalnie mają te same zadania: obronę praw i interesów pracowniczych. Bo w krajach socjalistycznych tę zasadę trzeba pojmować o wiele szerzej. W interesach pracowniczych mieści się przecież pojęcie całokształtu warunków życia społecznego. Związki zawodowe w krajach socjalistycznych muszą być wyposażone nie tylko w prawo współdecydowania, ale także w obowiązek współodpowiedzialności. Dlatego z jednej strony muszą troszczyć się o to, żebyśmy wytwarzali jak najwięcej najmniejszym społecznie kosztem w najlepszych warunkach pracy i dopiero wtedy sprawiedliwie dzielili. A w tym sprawiedliwym podziale mieści się i pojęcie zdobywania przez pracowników kwalifikacji, adaptacji zawodowej, klimatu pracy, stosunku do kolektywu. I wiele innych spraw, łącznie z tabelami wynagrodzeń.

„ODGŁOSY": — Problem sprawiedliwego podziału dochodu narodowego wysunął się w ostatnich tygodniach na jedno z czołowych miejsc w postulatach robotniczych...

GENOWEFA PAWLIK: — Nigdy nie twierdziłam, że ten podział jest prawidłowy i mówiłam to zawsze głośno, nie bojąc się konsekwencji. W całokształcie życia społecznego ostatniej dekady związki zawodowe mogły praktycznie dokonywać tylko nieznacznych korektur w tym podziale, naprawiając rażące niesprawiedliwości. Dlatego, ze względu na specyficzny charakter łódzkiego przemysłu, w którym jest przewaga zawodowa kobiet, położyliśmy taki nacisk na rozwój sieci żłobków i przedszkoli. I problem żłobków został w Łodzi praktycznie rozwiązany. Naszym staraniom należy także zawdzięczać to, że tak bardzo zwiększyła się ilość miejsc w przedszkolach. Nowo powstające związki skarżą się, że nie mają dostatecznego dostępu do środków masowego przekazu. My zaś mamy pretencję do dziennikarzy, że tak mało ukazywali i ukazują rzeczywiste problemy naszej pracy, że prasa, radio i telewizja ograniczały się do notatek, sprawozdań i laurek.

TERESA GUMIŃSKA — sekretarz ŁRZZ: — Może właśnie dlatego społeczeństwo tak niewiele wie o naszej pracy. Związki oceniało się zawsze przez pryzmat tego, co dają pracownikowi doraźnie, nie zaś przez to, co wnosiły do całokształtu stosunków społecznych w Polsce. Może za mało wchodziliśmy w głębokie problemy, ale staraliśmy się służyć ludziom w ich codziennej doli.

„ODGŁOSY": — A jakie to były działania?

GENOWEFA PAWLIK: — Była tu już mowa o sprawie żłobków i przedszkoli. Może to się wydać minimalizacją problemów, ale dla wielu pracujących matek jest to nieraz problem życia i śmierci, do ŁRZZ przez całe lata wpływały dziesiątki odwołań i podań w sprawie przyjęcia dzieci do tych placówek. Chodziło często nie tyle o znalezienie miejsca, tylko o miejsce w żłobku czy przedszkolu w konkretnym osiedlu. Po prostu na skutek błędnej polityki, żłobki czy przedszkola lokalizowano często w pobliżu zakładów pracy, które miały ambicje posiadania własnych placówek tego typu. I to partykularne widzenie zwyciężało, mimo naszych ostrzeżeń. To samo dotyczy ośrodków wypoczynkowych czy sanatoryjnych. Zbyt często dochodziło do głosu pojęcie: „to moje", zamiast: to społeczne, służące wszystkim. Upór pewnych działaczy spowodował złą lokalizację wielu placówek socjalnych i spowodował nowe społeczne podziały. Stałam zawsze na stanowisku, że to od nas powinny wychodzić inicjatywy popierające albo wręcz inspirujące działania prezydenta i Urzędu Miasta Łodzi. Z pewnych osiągnięć możemy być zadowoleni, ale w wielu wypadkach spotykaliśmy się z niezrozumiałym oporem administracji.

TERESA GUMIŃSKA: — Ponieważ to właśnie ja zajmuję się w ŁRZZ sprawami socjalnymi, wiem doskonale, jakie musieliśmy staczać walki o właściwe użytkowanie zakładowych funduszy socjalnych, a nawet właściwe ich naliczanie. Sprzeciwialiśmy się praktyce dokonywania na przykład remontów ośrodków wypoczynkowych z funduszu socjalnego, zamiast z funduszu inwestycyjnego zakładów. Przeciwstawialiśmy się uzupełnianiu miejsc w bazie wypoczynkowej poprzez odkupywanie skierowań od biur podróży, które niczego nie świadczyły pobierając za to wysokie marże. Prowadziło to do marnotrawstwa środków, powodowało, że na wypoczynek wyjeżdżało w gruncie rzeczy mniej pracowników niż to wynikało z faktycznie posiadanych funduszy. Postulowaliśmy zaniechanie podobnych praktyk, ale dowiadywaliśmy się, że nasze propozycje są przedwczesne. Zwracaliśmy także uwagę na niewłaściwe użytkowanie zakładowego funduszu socjalnego i mieszkaniowego. W banku leżały wolne środki, których jednak nie można było wykorzystać ze względu na absurdalne limity. Praktycznie mieliśmy dostęp zaledwie do dziesiątej części zgromadzonych środków, ale o tym mało kto wie i krytyka spada na nas.

GENOWEFA PAWLIK: — Nie należę do tych ludzi, którzy na dzień przed zakrętem wiedzą już, że jest źle, a mijając zakręt twierdzą, że jest od razu lepiej. Porozumienia podpisane w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu, za wyjątkiem niektórych punktów o charakterze politycznym, nie wykraczają w gruncie rzeczy poza to, co od dawna postulowaliśmy w naszej pracy związkowej. Zawsze dowiadywaliśmy się, że nie można, że nie ma środków, że propozycje są przedwczesne. Cóż, nigdy nie uciekaliśmy się do strajków, przyjmowaliśmy jako szczere wyjaśnienia, że jeszcze nie czas na rozszerzenie wolnych sobót, na wydłużenie płatnego urlopu macierzyńskiego, na faktyczną poprawę zaopatrzenia emerytalnego. Pozostawała nam polityka małych kroków. Ale te małe kroki wcale nie były takie małe. Doprowadziliśmy przecież do faktycznego zrównania praw pracowników fizycznych i umysłowych. Naszym wysiłkom trzeba przypisać powstanie funduszu alimentacyjnego dla samotnych matek, który jest jedynym funduszem tego rodzaju w całym obozie socjalistycznym. Dzięki naszym wysiłkom został rozwiązany w Polsce problem zasiłków chorobowych. Może stawialiśmy te sprawy za mało ofensywnie, ale i małymi krokami można dojść do wielkiego celu. Przecież naszym wielkim sukcesem jest Kodeks Pracy, jeden z najbardziej postępowych na świecie. Dlatego bardziej może niż inni przeżywam tak bardzo bezpardonową, krytykę działalności instytucji związkowych. Przypisuje nam się chętnie całe zło, choć faktycznie byliśmy ograniczeni w działaniach. Nie czuję się osobiście odpowiedzialna za wypaczenia i deformacje naszego życia gospodarczego i społecznego, bo miałam naprawdę znikomy wpływ na decyzje rozstrzygające o kierunkach polityki gospodarczej naszego kraju. Nie uchylam się natomiast od odpowiedzialności za odcinki, którymi kierowałam.

TERESA GUMIŃSKA: — Byłam zaskoczona totalną krytyką Centralnej Rady Związków Zawodowych i jej agend wojewódzkich. My w terenie naprawdę prowadziliśmy rzetelną robotę, nieśliśmy ludziom konkretną pomoc.

„ODGŁOSY": — Wydaje mi się, że działaczy związkowych zabrakło wśród strajkujących, że związki zawodowe nie identyfikowały się z postulatami załóg. Czy nie była to taktyka przeczekania? Nie stawiam tego jako osobisty zarzut, mówię o praktyce i odczuciach ogólnospołecznych.

GENOWEFA PAWLIK: — Nie bałam się pójść do strajkujących. I nie występowałam tam anonimowo. Mówiłam, że reprezentuje Łódzką Radę Związków Zawodowych. I ludzie nie przyjmowali mnie niechętnie, spotykałam się z wyrazami sympatii. Zgłaszali wiele krytycznych uwag. Głównie dotyczyły one ciężkich warunków życia. Często strajkujący prosili mnie o pomoc w przyśpieszeniu przydziału mieszkań.

„ODGŁOSY": — Krytyka związków zawodowych dotyczy często właśnie zasad tej reprezentacji...

TERESA GUMIŃSKA: — Reprezentacja to nie tylko siedzenie w pierwszym rzędzie na akademiach, choć upowszechnia się o nas taki właśnie krzywdzący stereotyp. Ja na przykład reprezentowałam dwadzieścia trzy branże wobec władz, bo przyjęliśmy taką zasadę pracy z oddziałami, żeby pewne sprawy załatwiać w skali województwa. Do tego dochodziły sprawy interwencyjne, głównie mieszkaniowe.

GENOWEFA PAWLIK: — Zarzuca nam się dzisiaj, że zajmowaliśmy się sprawą kartofli czy pietruszki, ale tego wcale się nie wstydzimy. Trzeba pamiętać, że służby pracownicze w zakładach pracy powstały stosunkowo niedawno i przejęły biurokratyczny styl pracy naszych urzędów. To dlatego nasi działacze często w dalszym ciągu wystawiali skierowania na wczasy, zamiast je tylko opiniować. To dlatego nasi działacze w dalszym ciągu musieli się troszczyć o zaopatrzenie na zimę. Bo my sprawowaliśmy nie tylko funkcje kontrolne, poczuwaliśmy się do współodpowiedzialności.

TERESA GUMIŃSKA: — W zakładach powołano służby socjalne i na tym koniec. Sprawę od samego początku potraktowanego niepoważnie, skoro w skali województwa w urzędzie miasta miała się nią zajmować jedna osoba. Właśnie w Urzędzie Zatrudnienia i Spraw Socjalnych. Dodano nazwę, ale nie dano etatów. Gdybyśmy zrezygnowali z zajmowania się w dalszym ciągu sprawami socjalnymi, powstałaby społeczna luka. Przyznaję, że braliśmy na siebie za wiele spraw wyręczając administrację, ale ktoś to musiał robić. W oczach ludzi związki zawodowe to przecież synonim wczasów i żywienia zbiorowego. Ale to uproszczenie. Mamy rejestr osób z rodzin zbiorowych w skali województwa obejmujący ponad tysiąc rodzin często liczących po piętnaście osób. Tym ludziom trzeba pomóc. Aktualnie prowadzimy rejestr jedynych żywicieli. To są sprawy bardzo trudne, bo zmieniają się społeczne kryteria.

„ODGŁOSY": — Ale społeczeństwo o tym nie wie. Może mówiło się o tym za cicho?

GENOWEFA PAWLIK: — Ma pan rację, za cicho. Chociaż podnosiliśmy na spotkaniach z władzami problem zmniejszających się relatywnie wolnych sobót, które dyrekcje fabryk przeznaczały na tak zwane nadróbki, nadrabianie braków planowych zadań. A przecież robotnik miał minimalny wpływ na wykonanie planu podobnie jak na jego określenie. Nie twierdzę, że robiliśmy wszystko, co do nas należało, ale u podstaw buntu klasy robotniczej legły przede wszystkim niedostatki społeczne, za które związki zawodowe ponoszą naprawdę znikomą odpowiedzialność.

„ODGŁOSY": — Czy przypadkiem związki zawodowe nie zminimalizowały robotniczych potrzeb? Byłem zaskoczony, kiedy przedstawicielka Łodzi w kulminacyjnym okresie strajków na Wybrzeżu prosiła w telewizji o lepszą kaszankę. Jakże to odbijało od postulatów robotników Wybrzeża.

GENOWEFA PAWLIK: — Może zminimalizowaliśmy potrzeby łódzkiej klasy robotniczej. Ale wierzyliśmy, podobnie jak robotnicy łódzcy, że w trudnej sytuacji gospodarczej kraju po prostu rządu na więcej nie stać. Robotnicy łódzcy mieli świadomość nierealności wygórowanych żądań. Do nas też zgłoszono wiele postulatów i z przyjemnością stwierdzamy, że jest tak niewiele żądań pod adresem Łódzkiej Rady Związków Zawodowych.

„ODGŁOSY": — Ale czy to dobrze czy źle?

GENOWEFA PAWLIK: — Myślę, że łatwo jest stawiać żądania, choć aż dziwne, że w tych wszystkich żądaniach nie ma jasno sprecyzowanego postulatu: płacą za pracę. Stoję na stanowisku, że kiedy się żąda, trzeba jednocześnie pokazywać drogi wyjścia z impasu, bo samymi żądaniami nie rozwiąże się potrzeb. Uważam także, że jeśli nie przywrócimy dawnej dyscypliny pracy, to niczego nie osiągniemy.

„ODGŁOSY":— Czym więc wytłumaczyć sobie ucieczkę związków branżowych ze struktury CRZZ?

GENOWEFA PAWLIK: — Może ta struktura po prostu się przeżyła, wiele aktywów było zbyt zdyscyplinowanych. Pójście na większą samodzielność w związkach branżowych pomoże na pewno wytyczyć nowe, pogłębione kierunki działania, choć wciąż pozostaje wciąż pozostaje otwarty problem koordynacji. Działania związków nie mogą być rozproszone, bo niczego nie osiągniemy. W przyszłości trzeba będzie pomyśleć także o formach współpracy starych i nowych związków. Jesteśmy przekonani, że potrzebna jest rzeczywista odnowa ruchu związkowego. Ale granice tej odnowy muszą zakreślić zasady ustrojowe. Podobnie jak podstawową busolą muszą być interesy ludzi pracy.

„ODGŁOSY": — Jakie będzie miejsce w tym odnowionym ruchu wojewódzkich rad związków zawodowych?

GENOWEFA PAWLIK: — Na to pytanie nikt chyba jeszcze nie potrafi odpowiedzieć. Może odpowie na nie nowa ustawa o związkach zawodowych. Nie czekając na rozstrzygnięcia kontynuujemy swoją pracę, bo chodzi o ważne sprawy: problem właściwej pracy służby zdrowia, problem ludzi trzeciego wieku. Chodzimy wśród ludzi z podniesionym czołem. Powiem nawet więcej: niezależnie od tego, czy nowa ustawa będzie przewidywała strajk jako formę walki z administracją, będę zawsze działała tak, aby do strajków nie dochodziło. Nie należałyśmy bowiem do tych, które siedziały na naradach i kiwały głowami. Nie baliśmy się krytykować postawy niektórych działaczy CRZZ w czasach, gdy wymagało to odwagi. Weźmy choćby sprawę wypoczynku łodzian. Okazało się, że łódzki świat pracy wypoczywa w znacznie gorszych warunkach niż robotnicy Katowic czy Warszawy. Upominaliśmy się o środki na poprawę sytuacji. Cóż tu zresztą mówić o wypoczynku, nawet fabryki łódzkie były zaniedbane. Teraz nas się tylko krytykuje. Także szeregowi działacze mają poczucie krzywdy, bo pracowali oddanie i uczciwie. Chodzi o to, aby dążąc do odnowy ruchu związkowego nie wylewać dziecka wraz z kąpielą. Wiele spraw, które postawiliśmy jako Łódzka Rada Związków Zawodowych trzeba po prostu kontynuować. Gdyby ktoś chciał przekreślić ten dorobek, byłoby to po prostu nieuczciwe.

„ODGŁOSY": — A jakie to sprawy?

GENOWEFA PAWLIK: — Ich rejestr jest po prostu ogromny. Uczciwie przekazywaliśmy opinie łódzkiej klasy robotniczej. Sprawa, która trzeba załatwić na dziś jest problem letniego wypoczynku pracowników województwa miejskiego. W październiku miała się odbyć giełda wolnych miejsc w ośrodkach wypoczynkowych. Wiadomo już, że się nie odbędzie. Ale problem wypoczynku pozostanie. Nie załatwi się go samymi postulatami, bo postulaty nie zastąpią konkretnych działań. Na dziś trzeba też prowadzić społeczną kontrolę w zakresie zapotrzebowania ilościowego i jakościowego, bezpiecznych warunków pracy ludzi w zakładach. Musimy także dopilnować prawidłowych warunków pracy ludzi zatrudnionych na wolnym powietrzu w warunkach jesienno-zimowych. A sprawa poprawy warunków pracy kobiet ciężarnych zatrudnionych w handlu, a problem miejsc w zakładach pracy dla rehabilitacji zawodowej pracowników? Naprawdę mamy jeszcze pełne ręce roboty.

„ODGŁOSY": — Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

---

do sklepu, żeby sprzedawcy nie wydawali na bony z podziałem na raty. A prezesi twardo, że muszą dzielić, gdyż w masie dostaw mieści się także przydział cukru dla pszczół, które są owadami niezwykle pożytecznymi. I tak dalej. Najtrudniej z kobietami. Krzyczą, że chciałyby się gdzieś uczesać, wymaglować bieliznę i nie ganiać po dziesięć kilometrów po proszki do prania, które wycofano z wiejskich sklepów. Pytają, po co zlikwidowano małe szkoły. Żeby w nich urządzić domy dla rencistów? Bzdura! Robi się z tego rupieciarnie, albo chuligani dewastują! I tak dalej. Tylko, że to wcale nie jest zabawne. To jest gorzka prawda. Naczelnicy stają obecnie przed pytaniami, na które trudno znaleźć odpowiedź. A pytania brzmią tak:

— Komu bardziej potrzebny samochód? Synowi dyrektora, który używa wozu służbowego, czy chłopu, który musi jeździć po gminie i województwach ościennych, żeby coś załatwić?

— Dlaczego musowo siać kukurydzę, gdy w gminie nie ma silosów do kiszenia? Kukurydza już dojrzewa, a cementu na silosy nie dowieźli!

— Po co przywozi się w październiku pszenicę i rozrzuca worki po chłopskich polach? W gminie ziemie słabe, żyto i jęczmień dawno zasiane. Tę pszenicę muszą zjeść kury.

— Czemu zbudowano pałace dla krów ze stanowiskami po 200 tys. zł? Obory stoją teraz puste, bo albo jest za mało ziemi, żeby wykarmić zwierzęta, albo nie ma chęci do pracy.

— Komu potrzebne są milionowe, elektroniczne chlewnie? Albo dodatkowy „Bizon", który stoi nie wykorzystany?

— Dlaczego za granicą kupuje się łańcuchy dla krów? Po co nam licencje, jak w kraju nie ma lemieszy, wideł, gwoździ, papy, a szpadel trzeba hartować u kowala, bo inaczej się złamie?

Tylko na niektóre z tych pytań naczelnik potrafi odpowiedzieć. Był plan z góry, trzeba się było wywiązać i rozliczyć. Jak naczelnik stanął okoniem, to się nie nadawał i do widzenia!

Chłopi nie wypowiadają się na temat zboża. Biorą ołówki i liczą. Koszty środków produkcji i usług dla rolnictwa rosły ostatnio szybciej niż ceny skupu. Gospodarstwa państwowe zużywały o 20 proc. więcej zboża, niż wyprodukowały. Rolnicy kupowali o 20 proc mniej zbóż niż wyprodukowali. A mimo to otrzymywali coraz mniej śrut zbożowych, mieszanek i otrąb. Nie dostawali też węgla. Państwo nie wywiązywało się z umów kontraktacyjnych, czemu więc oni mieli dotrzymywać słowa? Kiedy wiosną stwierdzono, że może być mniej ziemniaków, że nie ma pasz, a na targowiskach cena żyta osiągnęła 900 zł za kwintal, pszenica 1400 zł, prosięta zaś, które sprzedawano dotąd po 1500 zł za sztukę, można było kupić za 500 zł, natychmiast spadło zainteresowanie kontraktacją. Obecnie na targowisku żyto jest po 700 zł, pszenica po 900 zł. Rolnik nie chce ani ekwiwalentu za nie wykupioną paszę (3 zł za kg), ani ekwiwalentu za węgiel, bo co on kupi za te pieniądze? Wprawdzie w hodowli świń ziarno może zastąpić kiszonkami, suszem z zielonek, ziemniakami, burakami, ale węgla nie wykopie za stodołą. Nie rozpali banknotami pod kotłem, żeby uparować ziemniaki, zimą nie zagrzeje wody i mleka dla prosiąt.

Wahania w cenach skupu i wzrost kosztów produkcji powodowały, że rolnicy albo rzucali się na jakiś kierunek hodowli, albo go zarzucali. Tępogłowi decydenci nie słuchali ekspertów i skutki tego były żałosne: następował spadek pogłowia. Żeby odbudować stan pogłowia bydła, owiec lub świń, trzeba czekać trzy lata, bo w hodowli w nadgodzinach nie wyrówna się strat. Ale to na marginesie, wróćmy do liczących skrzętnie rolników.

W ubiegłym roku chłopi płacili 1375 zł za kombajn, w tym roku już 1760 zł za godzinę. Podwyżka równa niemal cenie żyta na skupie. To, że cena skupu nie drgnęła, a na wolnym rynku stoi wysoko, jest również jedną z przyczyn, że spływ zboża do magazynów został nieco przyhamowany. Są też inne, związane z ceną usług. Rolnicy więcej korzystali z kosiarek i snopowiązałek niż z kombajnów, toteż sporo zboża stoi teraz w stertach, a że ostatnio produkowano młockarni tyle, cot kot napłakał, omłoty przeciągną się znacznie. Poza tym mokre ziarno z kombajnów suszy się jeszcze na klepiskach, strychach i w prymitywnych suszarniach podłogowych.

Brakuje mieszanek paszowych, będzie o wiele mniej ziemniaków. Ale ostatnio wzrosła cena skupu żywca. Chłopi chcieliby hodować świnie, muszą mieć jednak dużo własnej paszy ze zbóż, dlatego też starają się je zatrzymać. Myślę również, że skoro tak poważnie wzrosła cena usług, środków chemicznych, a i ceny nawozów też nie są niskie, to powinna się zmienić cena na zboże.

W czasie wielkiej, ogólnonarodowej dyskusji, w cieniu wydarzeń i przemian historycznych, wieś żyje własnymi, trudnymi problemami. Dlaczego wracam do niektórych z tych spraw? Otóż, byłem w tym szczęśliwym położeniu, że na łamach tygodnika społeczno-kulturalnego mogłem powiedzieć więcej niż koledzy z gazet codziennych. I jeżeli np. przedstawiałem duże, zasobne gospodarstwa specjalistyczne, to mogłem głębiej pokazać drogę do sukcesu ich właścicieli; trudną drogę, pełną wyrzeczeń, ciężkiej pracy, poświęcenia, często porażek i rozczarowań. W jednym z artykułów pozwolono mi szeroko wypowiedzieć się na temat bolączek, jakie dręczą wieś polską. Tylko tytuł musiałem zmienić. A brzmiał on: „Najlepiej mówić prawdę".

Dzisiaj nie muszę używać tego tytułu. I to cieszy. A jednocześnie jest mi smutno. Bo nawet bliscy mi ludzie śmiali mi się w twarz. „Prasa to potęga? Bijesz w ten alarmowy dzwon, a nie słychać nawet słabego echa".

To prawda. Głos mój ginął w próżni. Nie słuchano dziennikarzy z tygodników społeczno-kulturalnych, występujących w słusznych sprawach dla wsi. A przecież żyliśmy w kraju, którego Konstytucja w artykule XV głosi m.in.: „Polska Rzeczypospolita Ludowa (...) otacza opieką indywidualne gospodarstwa rolne pracujących chłopów, udziela im pomocy w zwiększaniu produkcji i podwyższaniu poziomu techniczno-rolniczego, popiera rozwój samorządu rolniczego...".

RYSZARD BINKOWSKI

PODSUMOWANIE MITU

Dalszy ciąg ze str. 1

tykantów, planując równocześnie, że z całego uniwersytetu dostanie o 300 więcej, niż w końcu stawiło się do pracy. Na Politechnikę Łódzką wpłynęło 3 tys. zgłoszeń, ale uczelnia dysponowała tylko 1350 studentami.

— *W trudnych dniach sierpnia, gdy w sklepach dochodziło do dramatycznych scen, a do pracy w nich skierowano nawet administrację, obecność studentów przydała się nam bardzo* — mówi instruktor d/s młodzieży w WSS „Społem" Nina Kozera. — *Studentki z Wydziału Ekonomicznego UŁ pracowały jako sprzedawczynie: wybierały i podawały towar, wypisywały paragony. W czasie wzmożonych dostaw podstawowych artykułów studenci wyręczali nie nadążające z pakowaniem zakłady obrotu towarowego. W tych gorących dniach poczuli się ważni, dorośli, potrzebni. Wielu zmieniło swój stosunek do pracy w handlu. Dzisiaj — mówili — możemy docenić wąsz trud...*

Takich opinii zanotowałem więcej. Jedna z pracujących w piekarni studentek powiedziała, choć w pierwszej chwili zabrzmi to jak truizm: *Teraz inaczej będzie smakował mi chleb...*

— *Studenckie praktyki nie tylko umożliwiają wielu ludziom urlop. Miesiąc uczciwej, nieraz ciężkiej pracy fizycznej ma wartości wychowawcze* — podkreśla pełnomocnik rektora d/s SPR w Politechnice Łódzkiej dr Piotr Matyjewski. — *Dla większości studentów jest to pierwszy i często ostatni kontakt z tą pracą. Myślę, że jest to dobry bodziec do nauki, że tacy ludzie będą się lepiej uczyć.*

W początkach SPR studenci wykonywali tylko prace najprostsze, pomocnicze i na ogół całkowicie bezpieczne. Dzisiaj coraz częściej zdarza się, że studenci pełnią w zakładach funkcje nadzoru, wykonują po przeszkoleniu prace bardziej złożone. Zwłaszcza studenci politechnik po średnich szkołach zawodowych (o których fabryki wręcz proszą). Wielu korzysta z oferty i staje przy maszynach, a produkując w lepiej płatnym systemie pracy akordowej, przynosi zysk nie tylko zakładom, ale także sobie.

Świadomość wagi czynnika ekonomicznego nie dotarła jednak od razu do studentów. Stało się to dopiero w ostatnich latach. Może okryte jednoznacznie złą sławą studenckie „sachsy" miały choć taki dobry wpływ, że pomogły przełamać lekceważący stosunek do ciężkiej pracy fizycznej i sprawiły, że młodzi ludzie zaczęli doceniać wartość zarobionego także tu, w kraju, pieniądza? W tzw. międzyczasie zresztą studenci pomagali wznosić Hutę „Katowice", wybudowali duży kawał Chełma, wielu odnajdywało się w OHP... Zapewne i to przyczyniło się do wyprostowania spaczonego obrazu pracy fizycznej. Podczas wizyt na praktykach spotkałem wiele przykładów pracy rzetelnej, często ponad normę. A co powiedzieć o takim fakcie, że studenci (choć może nie dokładnie ci sami), którzy kiedyś wzgardliwie wyrażali się o pracy i mentalności „robola", dzisiaj — przystępując do tworzenia nowego, niezależnego związku — otwarcie solidaryzują się z dążeniami klasy robotniczej?...

Ale czy stare uprzedzenia do SPR znikły przez to zupełnie? Za wcześnie tak twierdzić. Świadczy o tym utrzymująca się do zeszłego roku wysoka liczba zwolnień i odroczeń. Na niektórych uczelniach zwolnienia dochodziły do 30 procent.

— *Praktycznie każdy kto składał papierek, dostawał zwolnienie* — mówi Marek Guttmeyer — wicedyrektor Departamentu Wychowania i Spraw Młodzieżowych w Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. — *Taką furtkę stanowiły Uchwała Rady Ministrów i Zarządzenie nr 49 naszego ministerstwa z 1974 roku. Powiedziano tam, że dziekan może udzielić zwolnienia w kilku wypadkach: niezdolności do pracy fizycznej, odbytej służby wojskowej, wcześniejszej pracy fizycznej i umysłowej, a także w gospodarstwie rolnym i OHP oraz wreszcie — szczególnych powikłań losowych. Praktyka zwalniania studentów była jednak tak powszechna, że przypomnieliśmy dziekanom, iż zapis jest fakultatywny: mogą zwalniać, ale nie muszą...*

Kolejnym etapem zaostrzania przepisów były postanowienia gliwickiej narady pełnomocników do spraw SPR w lutym br. Praktyki studentów objęto obowiązkowym zaliczeniem, a zwolnienia ograniczono do trzech zweryfikowanych przypadków: trwałej niezdolności do pracy fizycznej ze względu na stan zdrowia, pracy w gospodarstwie rolnym i służby wojskowej.

Ale — jak dochodzą słuchy — nie wszędzie z jednakową gorliwością potraktowano zalecenia ministerstwa. Co prawda — jak twierdzi pełnomocnik rektora — na Politechnice Łódzkiej zwolnień nie było wcale (w ub. roku — około 15 proc.), a zaledwie 3 proc. odroczono, to jednak już np. na Wydz. Filologicznym UŁ do podań podchodzono bardziej liberalnie. Zwolniono tu 37 osób, a podstawą były zaświadczenia lekarskie. Na Politechnice nawet z zaświadczeniami wysyłano do pracy, tyle że po rozmowie i do roboty lżejszej, najczęściej administracyjnej. Z moralnego punktu widzenia daleko gorsze są próby... przekupywania pełnomocników, albo zakłady pracy przez nazbyt kochających rodziców. W tym roku też zdarzył się taki wypadek (jeden?). Jakiś adwokat zaoferował zakładom (nazwa znana) zwrot miesięcznego zarobku córki, w zamian za uwolnienie jej od koszmaru chodzenia na piątą do pracy i wysłuchiwania utyskiwań robotnic...

MIĘDZY ŻYLAKAMI, A DŁUBANIEM W NOSIE

Gdzie pracują studenci? Można powiedzieć, że wszędzie. Na budowach i w sklepach, w szpitalach i fabrykach włókienniczych, w PGR i barach, w drukarniach i przetwórniach owoców. To zróżnicowanie wpływa oczywiście na płace i warunki pracy, a więc i na oceny, nastroje studentów, które często są skrajne.

W myśl Uchwały Rady Ministrów z 1972 roku, celem SPR jest „lepsze przygotowanie zawodowe studentów", „zgodnie z przyszłym zawodem". Sformułowania te budzą wątpliwości. Jest przecież jasne, że taki cel łatwiej zrealizować na politechnice, o akademiach medycznych i rolniczych nie mówiąc.

— *Około 90 procent naszych studentów* — stwierdza dr P. Matyjewski z PŁ — *kierujemy do zakładów o specjalności zbliżonej do tej, którą będą poznawać podczas studiów. Na budowach coraz częściej tworzy się specjalne brygady studenckie, np. złożone z elektryków. Zdarza się, że młodzi ludzie po SPR i połowie studiów wracają na ten sam wydział na praktykę zawodową, a po studiach już w innym charakterze — jako inżynierowie.*

Studentki ekonomii na SPR trafiają do sklepów, chemii — do „Polleny-Ewy". Ale co zrobić z filologami, czy kulturoznawcami, gdzie wysłać przyszłych prawników?

Dyr. M. Guttmeyer: — *Chcąc zachować podstawową ideę praktyk, że są one pracą fizyczną, nie da się w stu procentach zrealizować drugiej ważnej zasady: zbieżności (bo nie: zgodności, ta jest niemożliwa) miejsca pracy z kierunkiem studiów. Gdybyśmy natomiast wprowadzili unifikację płac i warunków pracy, nie spełniony zostałby główny cel SPR: lepsze przygotowanie zawodowe studentów. To jasne. Co prawda w NRD, czy w Związku Radzieckim istnieje system jednakowych praktyk. Ale czy praca na żniwach, albo przy wykopkach ziemniaków, przyniosłaby studentom więcej satysfakcji i korzyści, niż praca w fabryce, gdzie ma możliwość poznania nieznanego środowiska, osiągnięć techniki i innych warunków pracy, szczegółów produkcji towarów, z których często korzysta na co dzień?*

Wiele emocji — zwłaszcza ostatnio — wzbudzają też płace.

Dyrektor: — *Studenci zarabiają według taryfikatorów obowiązujących w danym resorcie i zakładzie pracy. My nie możemy tu nic zmienić. Nawet pełnomocnik Rządu d/s SPR, jest przy Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych.*

Pełnomocnik rektora Politechniki Łódzkiej:

— *Podpisując umowy zbiorowe z zakładami pracy gwarantujemy sobie, że student — po pierwsze — nie może zarobić mniej, niż 2 tys. i — po drugie — że jeśli w zakładzie jest taka możliwość, ma prawo pracować w — lepiej płatnym — akordzie. W zeszłym roku średnia pensja studentów wynosiła 2650 zł, w tym — 2800. Ale część zarabia więcej. Nie mówię o regulaminowych premiach, różnych dodatkach np. za drugą zmianę, czy dodatku dla wicekomendanta. Pracując w akordzie dwóch studentów zarobiło w zeszłym roku po 4,5 tys. W łódzkiej spółdzielni „Puchatek" działał hufiec, przez który przewinęło się dwieście osób. Każda z nich otrzymała nie mniej, niż 3,5 tys.*

Ich koledzy pracujący w sklepach — dodam jeszcze — byli o tysiąc „do tyłu"... W sieci detalicznej WSS, w gastronomii, w sklepach i magazynach WPHW, możliwości są najmniejsze.

Jeszcze większa rozmaitość cechuje warunki pracy. Różny jest stopień zainteresowania studentem. Listę zakładów gotowych podpisać umowy z uczelnią sporządza Wydział Zatrudnienia w porozumieniu z wojewódzkim zespołem koordynacyjnym, po czym rozsyła ją pełnomocnikom. Z reguły na liście są i te zakłady, które w organizowaniu SPR już się sprawdziły, do których pełnomocnicy mają zaufanie. Np. PŁ ma dziesięć takich zakładów. Te na ogół nie zawodzą. Ale obok nich 3—5 rocznie dopiero startuje i z tymi bywa różnie.

Pełnomocnicy muszą jednak ulegać koniecznościom chwili. Taką jest na przykład większe — niż niekiedy by się chciało — wzmacnianie praktykantami budownictwa. Tu właśnie zdarza się najczęściej nieprzygotowany front robót.

Ostatnio jednak — jak zapewniają pełnomocnicy — zdarza się coraz rzadziej. Coraz mniej też przytrafia się pomyłek tak jaskrawych, jak dziewczęta kierowane do kopania rowów i układania kabli... Co nie znaczy, że większości pracuje się lekko. W „Polmo" od piątej rano stoją przy tokarkach. W piekarniach także od piątej — przy gorącym piecu. W „1 Maja" pomagają w produkcji przy automatycznych przewijarkach. Jeśli jednak, której każą nosić pełne worki, zaraz (był taki przypadek w tym roku) wkracza komendant. Ale obok takich, którzy „harują" i nabawiają się żylaków, są i tacy, którzy plotkują, zabijają czas czytaniem, wypatrując końca. Jedni na maszynach robią plan i zbierają do pończochy złotówki, innych pan majster wysyła do diabła i zamiatania hali.

Nazwy najlepszych zakładów są znane, bo o nich chętnie wszyscy mówią: od rektora do studenta. W Łodzi o studentów troszczą się — wypada podziękować — m. in. Łódzkie Zakłady Graficzne, WSS „Społem" (zwłaszcza na Górnej), „Fonica", poza nią ZPOW „Łowicz", a przede wszystkim słynna z życzliwości i dobrej organizacji pracy „Pollena-Ewa", gdzie hufiec studentek z PŁ i jego dwukrotna wicekomendantka Anna Mietlińska przez dwa lata pod rząd zdobywały pierwsze miejsca w krajowym współzawodnictwie.

O przypadkach odwrotnych mówi się ciszej i mniej chętnie. Krytyczne głosy dobiegają zresztą często i z miejsc, gdzie generalnie atmosfera dla studentów jest dobra. W „Stomilu", na Wydziale Konfekcji studentki stwierdziły (w przytomności reprezentanta załogi):

— *Nie czujemy się wykorzystane. A przecież nam nie chodzi o to, żeby podpisać tylko listę obecności. Do tego nie trzeba co dzień wstawać o czwartej... Powinna być taka organizacja, że jeśli na jednym wydziale zabraknie pracy, to można przejść na inny, gdzie będziemy potrzebne...*

Na innym wydziale usłyszałem coś akurat przeciwnego; studentki nie narzekały na brak pracy: — *Dba o to załoga* — powiedziały z uśmiechem. Kazimierz Zieliński — technolog i opiekun studentów z ramienia zakładowego koła NOT zapewnił mnie jednak:

— *Od przyszłego roku będziemy organizować praktyki na dwóch, najwyżej trzech wydziałach, może nawet stworzymy brygady studenckie, aby uniknąć tych dysproporcji. Praca studentów w większym skupisku sprawi poza tym, że będą się czuć pewniej w zakładzie, i że łatwiejsza będzie integracja, której początkiem — jak wiadomo — mają być SPR, a kontynuacją — wspólne studia.*

Tą z kolei jest już inny, nowy problem.

MEANDRY REFORMY

Czy SPR to wyłącznie praca? Mówi dyr. M. Guttmeyer: — *Po trzech latach istnienia praktyk zorientowaliśmy się, że dają one możliwość wcześniejszego rozpoczęcia procesu dydaktyczno - wychowawczego wobec tysięcy nowo przyjętych studentów, czyli studentów „roku zerowego". Uczelnie otrzymały zadanie opracowania i rozwijania tego, co nazwaliśmy — hasłowo — programem czasu wolnego.*

Do realizacji wprzęgnięto SZSP i — ostatnio — ZSMP, a także zakłady pracy, które nie tylko mają wpłacać po 120 zł na każdego studenta — z przeznaczeniem na organizowanie różnych imprez — ale udzielać możliwie wszechstronnej pomocy studenckim inicjatywom. Większość działań odbywa się jednak na razie poprzez kluby na osiedlach studenckich, gdzie zakwaterowani są praktykanci spoza Łodzi. W programach spotkania z władzami uczelni i wydziałów oraz SZSP, czyny społeczne i zwiedzanie uczelni, sąsiadują z wizytami w teatrach, występami zespołów jazzowych, meczami, wycieczkami, dyskotekami i (bezpłatnymi!) kursami tańca towarzyskiego. Tym samym chce się naraz upiec kilka pieczeni.

Uczelnia oswaja przyszłych studentów z najważniejszymi twarzami (i funkcjami) oraz tabliczką mnożenia swej skomplikowanej machiny administracyjno-organizacyjnej. Można to nazwać także — jeśli się chce — próbą integrowania świeżo upieczonych studenckich bułeczek wokół spraw, którymi żyje uczelnia (nawet jeśli jest to często życie pozorne).

SZSP adaptacyjno-wychowawczy cel wykorzystuje dla sondowania opinii na temat związku i wyłowienia, a także podchowania, nowych aktywistów. Wszystkie te działania utrudnia jednak ogromne rozproszenie studentów. Na przykład studenci z jednego tylko wydziału UŁ — Prawa i Administracji pracowali w tym roku aż w 105 miejscach! Dwóch studentów w sklepie — to już reguła, ale zdarzają się nawet i całe budowy, gdzie środowisko studentów reprezentował jeden człowiek. Poza tym „nowi" są jeszcze dość odporni na nazbyt biurokratyczne nieraz metody działania różnych instancji SZSP. Nie wystarczy zorganizować Turniej Wiedzy Politycznej ze zdezaktualizowanymi już — przez sierpień — pytaniami; samo tylko podsuwanie deklaracji członkowskiej z milczącym oczekiwaniem na akces, to też dziś za mało... Najmłodsi studenci oczekują spotkań, jasnej informacji, dyskusji. Nie interesuje ich członkostwo dla podbijania ilościowych wskaźników... Niestety, część działaczy młodzieżowych tego nie rozumie. Będą się dzisiaj tłumaczyć z formalizmu i sprawozdawczego efekciarstwa (już to robią).

SZSP — w traktowaniu SPR jako ważnego, integralnego etapu procesu dydaktyczno-wychowawczego — poszedł jeszcze dalej: w studenckich hufcach dostrzegł zalążek przyszłych „grup działania" — najmniejszych studenckich komórek samorządowych na uczelni. I nie byłoby może w tym nic zdrożnego, gdyby nie — znowu! — administracyjne metody sterowania prywatnym życiem studentów. Do niedawna student miał możliwość wyboru terminu praktyk. Na Uniwersytecie Łódzkim ustalono jednak, że cały wydział będzie odbywać SPR w ciągu jednego miesiąca (np. we wrześniu pracowali studenci wydziałów: filologicznego i prawa). Z tym, że student mógł sobie wcześniej zaplanować na ten miesiąc wakacje, nie liczono się zupełnie. Co prawda w tym roku pełnomocnik musiał jednak jeszcze ulec pod naporem podań i z „integracji" niewiele wyszło (także ze znanych powodów ogólnych). Ale co będzie dalej?

Dalszym krokiem — jak się zapowiada w ZŁ SZSP — będzie zakwaterowywanie wszystkich bez wyjątków praktykantów w domach akademickich (łącznie z tymi, którzy mieszkają w Łodzi).

— *Ułatwi to — obok likwidacji zwolnień i odroczeń oraz wspólnej pracy — bardziej konsekwentną realizację programu czasu wolnego* — twierdzą działacze SZSP... Powtarzanie pomysłów lansowanych od paru lat przez Politechnikę Gliwicką (mającą ponoć „wzorcowe rozwiązania" programu czasu pozaprodukcyjnego) spotkało się z krytyką zwolenników bardziej swobodnego traktowania czasu wolnego studentów (a często jednocześnie orędowników faktultatywnego traktowania całych praktyk).

— *Ostatecznie każdy, nawet „zielony" student ma prawo wybrać to, co chce robić po nieraz ciężkiej pracy* — argumentują oni. — *Tworzenie — w oparciu o akademiki, czy hufce wyjazdowe — swego rodzaju „obozów", z dużym rygorem i próbą rozliczania studentów nawet z czasu wolnego, jest bezsensem. Wiadomo skąd się biorą takie zapędy — z chęci wygrywania współzawodnictw, których regulaminy (osobne dla uczelni, pełnomocników, hufców i ich komendantów) preferują wskaźniki ilościowe, bardziej spektakularne.* Tymczasem — jak zauważa Janusz Marchewa, pełnomocnik d/s SPR na Wydz. Filologicznym UŁ — *nie zawsze najlepszym jest ten hufiec, który najwięcej wyprodukuje, a komendantem — organizator największej liczby imprez (za to z kiepską frekwencją...).*

ZA DUŻO MĄDRYCH...

Spotykany jeszcze chaos i różnice zdań na ten sam temat są także skutkiem zaangażowania się w organizację praktyk zbyt dużej liczby stron. Np. samych tylko ministerstw jest — przeciętnie — sześć, a bywa i dziesięć.

— *Wszyscy sobie patrzą na ręce, a w końcu robota i tak spada na nas* — mówi Andrzej Newelski — przewodniczący Komisji Pracy i Spółdzielczości Zarządu Łódzkiego SZSP. — *Związek jednak nie ma dotąd należnej mu pozycji decydenta. Tymczasem uważam, że dojrzeliśmy do tego, aby przejąć na siebie całą organizację praktyk, a do ich realizacji włączyć szerzej niż dotąd spółdzielczość studencką.*

Gdyby do tego doszło, nie Urząd Zatrudnienia, ani uczelnia, lecz sami studenci (przez Związek) wybieraliby zakłady pracy (tylko te które się sprawdziły) i kierowali do nich praktykantów (zgodnie z kierunkiem studiów). Działacze świetnie zdają sobie sprawę z wartości, jaką na wyludnionym rynku pracy stanowi rezerwowa armia studentów. Dysponując ludźmi, SZSP mógłby trzymać w szachu zakłady pracy (którym przecież zależy coraz bardziej) i dyktować warunki. Tak twierdzą działacze.

Wykorzystanie przez związek tych atutów mogłoby być istotnym argumentem w walce o odbudowanie utraconego zaufania rzesz studentów do SZSP, jako dotąd wyłącznej reprezentacji ich interesów. Ale naturalnie argumentem nie jedynym. Studenckie praktyki robotnicze w hierarchii palących spraw tego środowiska nie znajdują się przecież na pierwszym miejscu. Choć nie są też na miejscu ostatnim...

— *Próbujemy w obecnych warunkach zwiększyć nasz wpływ na warunki pracy, staramy się eliminować te zakłady, które nie wywiązują się z umów* — mówi A. Newelski z ZŁ SZSP. I dodaje — *choć nie zawsze jest to możliwe. W roku 1980 na przykład po raz pierwszy uniknęliśmy szantażu ze strony niektórych instytucji. Wśród współpracujących w ramach SPR, są bowiem i takie, które nawiązały z uczelniami wieloletnie umowy. Próby krytykowania złych warunków pracy grożą obrażeniem się tych instytucji i zerwaniem umów. Kiedyś zaszantażowała nas w ten sposób Spółdzielnia „Czystość". Gdy studenci się poskarżyli, a my interweniowaliśmy, powiedziano nam: Siedźcie cicho, bo przestaniemy prać bieliznę dla waszych akademików...*

Niemożność ostrego wkraczania (do zerwania umów włącznie) — to już skutek pogłębiającego się od lat (w wielu zresztą dziedzinach) uzależnienia SZSP od administracji uczelni. W sprawach spornych uczelnia nie zawsze staje po stronie studentów, choć o nadrzędności interesów tych ostatnich zapewniają pełnomocnicy. Rodzi się więc pytanie: czy w obecnej sytuacji administracja dopuściłaby do przejęcia przez studencką organizację całego ciężaru organizowania SPR?

Z pytania tego wyłania się następne, którego konsekwencje mogą być szersze i nie dotyczące tylko SPR (bo są one tylko jednym przykładem). Czy obrona interesów studentów — jako nadrzędny cel działania samorządnego Związku Studentów nie zawiodłaby wielu dziedzin akademickiego życia w kierunku zgoła niepożądanym przez władze uczelni i ministerstwa?

Odpowiedź na te pytania wiąże się z oceną dojrzałości i odpowiedzialności studentów, tak głośno domagających się dzisiaj odebranych im praw do współdecydowania o własnym losie. W dyskusji z pewnością nie zabraknie miejsca i dla tematu studenckich praktyk robotniczych. Tym bardziej, że — poprzez podobne, związkowe dążenia — wyraźniej, niż kiedyś rysuje się dziś więź między klasą robotniczą i młodą inteligencją.

Czy — biorąc pod uwagę rosnące zainteresowanie praktykami w zakładach pracy i ich korzyści ekonomiczne — nie mogą stać się one w niedalekiej przyszłości jedną z głównych płaszczyzn współdziałania związków studenckich i robotniczych? Można przypuszczać, że tak, i że przyszły kształt robotniczych praktyk zależeć będzie w równym stopniu od obu stron. Na przecięciu interesów zakładów pracy i samorządnego związku studentów może zrodzić się najlepsze rozwiązanie tego problemu.

TOMASZ SOLDENHOFF

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

DYSKUSJA

Padały polecenia: zabierzesz głos w dyskusji. Zabierzesz na temat... Jako przedmiot wystawienia ciebie na widok publiczny, na trybunie górującej nad zapełnioną konferencyjną salą, masz zadany temat. Bywało, nie bardzo tobie odpowiadający, bliski. Ale furda kłopot skoro napiszesz, wcześniej zgłosisz się „do konsultacji", poprawią, odejmą to i owo wykreślając, dodadzą dopisując...

— *Stoję* — wspomina stary działacz — *z towarzyszką z piotrkowskiej Huty Szkła „Hortensja" w holu gmachu KW PZPR, rozmawiamy. A oto podchodzi odpowiedzialny towarzysz i, nie mówiąc „dzień dobry", choć się tego dnia jeszcze nie widzieliśmy, wyniośle nakazuje „Towarzyszko, zgłosicie się do mojego pokoju z waszym głosem..."*

Zgłosi się ze swoim głosem... No, oczywiście, wiem o co chodzi. Że z kartką, na której jest to, co zamierza powiedzieć, a nie ze strunami głosowymi w dłoniach, nie z całym aparatem stworzonym przez naturę, a umożliwiającym człowiekowi mówienie, śpiewanie, krzyczenie...

• • •

Ze wspomnień dziennikarza — działacza:

— *Udział w dyskusji... Miejska konferencja partyjna. Z Warszawy obsługiwał ją towarzysz M. Jako dziennikarz postanowiłem wyrazić swój pogląd na temat roli prasy w środowisku w konfrontacji z rzeczywistością i o niedostatkach krytyki partyjnej, w tym także krytyki prasowej. Podałem kartkę do prezydium obrad konferencji jako jeden z pierwszych. Czas płynął. Mówił już piąty, siódmy, dziesiąty dyskutant. Siedziałem nie opodal przewodniczącego obrad i widziałem jak manipuluje moją kartką, jak przesuwa ją na później... Udzielono głosu przedstawicielowi KC, czyli towarzyszowi M., bo — jak poinformowano — „z ważnych przyczyn musi opuścić obrady przed ich zakończeniem, ażeby być w Warszawie jeszcze przed wieczorem". Potem nastąpiła przerwa na — jak powiedziano — „odgłosowanie", czyli wybranie wcześniej przez komisję wyborczą zgłoszonej liczby towarzyszy do nowych (?) władz. Nastąpiła przerwa w obradach na obiad i po obiedzie dokończono dyskusję. Udzielono mi głosu jako przedostatniemu. Kiedy był to już głos wołającego na puszczy. Powiedziałem też wtedy połowę tego, o czym miałem zamiar mówić. Zastanawiałem się już nawet nad celowością zabrania głosu w ogóle. Wymanewrowano mnie, oczywiście.*

• • •

Zebranie partyjne w zakładzie pracy. Magdziński otrzymał polecenie zabrania głosu. Kiwnął głową, że zabierze. Jego głosu nie skonsultowano i był klops!

Było to dwa lata temu. O, odtąd już Magdzińskiemu nie polecano, ażeby zabierał głos! Magdziński wtedy się nie popisał. Przy towarzyszu z KM powiedział, że nie rozumie za co ta Z. otrzymała Złoty Krzyż Zasługi, a już zwłaszcza za co ten stosunkowo młody jeszcze B. dostał aż Krzyż Kawalerski? Magdziński poważył się nawet na wyjątkową herezję! Powiedział, że gdyby oszczędniej obdzielano orderami, więcej blachy byłoby na noże i widelce i w pewnym stopniu wpłynęłoby to pozytywnie na równowagę rynkową... Magdzińskiemu nie przypadło do gustu rozdzielenie mieszkań w bloku zakładowym. I tu podał on fakt poprawienia warunków mieszkaniowych księgowemu, który ma dorosłe dzieci już poza domem i za dwa pokoje z kuchnią z wygodami otrzymał trzy, gdy sortierka B. gnieździ się od lat z trojgiem dzieci i chorym mężem na ciasnym, latem gorącym i zimą zimnym, poddaszu. Usłyszał Magdziński, że *„trzeba to wszystko było powiedzieć wcześniej w KZ, a nie od razu na zebraniu POP przy towarzyszu z zewnątrz.* Odpalił wtedy, że dawno już stracił zaufanie do mówienia w KZ. Bo skoro KZ nie dostrzega takich „niewypałów" albo ściślej mówiąc je wspiera, znaczy, że ich nie udaremnia.

Odtąd Magdziński stał się „powietrzem"...

• • •

Dyskusje, dyskusje. Często z góry można było przewidzieć, co kto powie. Z góry było też wiadomo, kto zabierze głos. No, dla pozorów przewodniczący obrad pytał. *„czy ktoś z towarzyszy pragnie jeszcze zabrać głos?"* i wyglądało przy-

zwoicie. Że w oczach nie wszystkich? Że ludzi myślących, reprezentujących wrażliwość na poczucie demokratyzmu wewnątrzpartyjnego to nie zadowalało, bo zadowalać nie mogło?

Myślących i wrażliwych spisywano na straty...

• • •

Sesja popularnonaukowa na temat dorobku 35-lecia PRL na ziemi piotrkowskiej. Zainteresowani wiedzieli, jakie są tematy referatów i kto je wygłasza. Ale oto dowiedzieli się oni także, że w dyskusji głos zabiorą ci a ci! Po sali obrad sesji poniewierał się jeden egzemplarz „harmonogramu przebiegu obrad" i stało w nim jak wół, że w dyskusji głos zabiorą: z Piotrkowa towarzyszka (tu nazwisko znanej uczestniczki ruchu oporu), z Radomska (nazwisko), z Tomaszowa (nazwisko)...

Prawda, trzy znane nazwiska ludzi zasłużonych i w tym przypadku rzeczywiście mających coś do powiedzenia. Ale takie „dopracowanie organizacyjne" sesji świadczyło też, że nikt inny już zabierać głosu nie powinien. Zwłaszcza, że wyznaczono termin zakończenia obrad. Siedzący nie opodal docent chciał zabrać głos, doktor-historyk także, ponieważ teza wygłoszona przez docenta z UŁ nie zgadzała się z jego jako historyka wiedzą. Ale skoro dyskutantów, tamtą trójkę, z góry wyznaczono, a i tok obrad świadczył, że nie powinien już nikt „zakłócać" porządku obrad — to wyczuwający intencje Wysokiego Prezydium uczestnicy sesji ani śmieli się wychylić...

• • •

Mówi stary działacz, piotrkowianin:

— *Nie zabierałem głosu już od paru lat. Dlaczego? To wam powiem. A dlatego, że to nie były dyskusje. Co to za dyskusje, skoro prosiłeś o głos, udzielali ci go, mówiłeś co myślisz, a później człowiek podsumowujący tę dyskusję robił z ciebie durnia. A tak! Zdarzyło mi się, że źle mnie szanowne prezydium zrozumiało. Więc chciałem wstać i raz jeszcze powiedzieć o co mi chodzi. Ofuknięto mnie: „my wiemy, towarzyszu, o co wam chodzi?" I nie udzielono mi po raz drugi głosu. Niby to parlamentarnie! Miałeś głos, trzeba było powiedzieć jasno. Raz i koniec. Inni także pragną przemawiać, kiedy dyskusja,... Parlamentarnie. Parlamentaryzm polega, jeżeli się na tym cokolwiek znam, na szansie wzajemnego porozumienia — na dobrej woli dogadania się obu stron. Ale cóż, kiedy ten w danej chwili najwyższy, siedzący za stołem prezydialnym, chciał mój głos zrozumieć tak, jak jemu było wygodnie. Ażebym był ustawiony do uderzenia. Po co więc było mu rozumieć mnie zgodnie z intencją wypowiedzi?*

— *Jak rozumiem dyskusję?* — snuje swój wywód stary działacz — *A tak, że z sali obrad, gdzie rozmawiają między sobą Polacy, gdzie toczy się rozmowa w celu wypracowania jak najbardziej efektywnego programu działania, trzeba wyjść zrozumianym i rozumieć tych w prezydium. Tymczasem my mieliśmy tylko rozumieć tych w prezydium. Oni nas niekoniecznie musieli. Lepiej więc było spisać krytykującego na straty, wygasić go jak piec hutniczy niż się narażać na myślenie, konfrontację stanowisk... Będę jak przed laty, jak w PPR, i jak za Bieruta zabierał głos, jeżeli ostatni dyskutant, ten podsumowujący, nie będzie uważać siebie za pomazańca, bo włożona przez niego na głowę czapka z napisem „Wysoka Funkcja" upoważnia go do arogancji i pomiatania godnością szaraków.*

• • •

Jakże ciągle jeszcze nierzadko człowiekowi niepokornemu naklejano etykietę, ba wpisywano, o czym często nie wiedział, te niby-opinie do akt personalnych, choć mógł orać na co dzień przy warsztacie pracy jak wół, jak ten robol. Ale kiedy przychodziły okazje premiowania, czy innego honorowania czuł, że coś wokół niego nie jest tak. Prawda, otrzymywali premie i odznaczenia również w pełni zasłużenie inni pracowici ludzie. Ale oni byli bardziej „rozumni" — nie wychylali się, wyrażali swoje zdanie, także negatywne, tylko w gronie ludzi zaufanych. Prostolinijny człowiek, który się naraził, widząc, że coś jest wokół niego nie tak (zarzutów wprost nie usłyszał), próbował pytać *„co macie do mnie?"*, spotykał się z unikami, a nierzadko i ze zwalaniem na tych wyżej. Po takich próbach konfrontacji mniej odporny człowiek się wyciszał. I żył na drugim planie. Z wiatrakami walczył już niejaki Don Kichot...

I tak oto uszczuplano szeregi zaangażowanych, wrażliwych. I tak oto górę w środowisku brali ci bez skrupułów, karierowicze pospolici. *„Niech pan popatrzy* — powiedział niedawno do dziennikarza człowiek z ponad trzydziestoletnim stażem, z wyższym wykształceniem, społecznie „wieczny" wykładowca różnych szkoleń, nawet dubler lektorów z samej Warszawy, gdy któryś z nich raczył w porę nie dojechać. — *Nigdy nie przywiązywałem wagi do odznaczeń, choć różnych honorowych odznak i dyplomów mam parę kilo. Ja z państwowych mam tylko Srebrny Krzyż Zasługi. A facet, który niedawno zaczął pracować w naszym środowisku, ale który od razu zrozumiał, że tu trzeba składać się jak przysłowiowy szczoryk, otrzymał w ubiegłym roku Złoty Krzyż Zasługi, „bo mu za zorganizowanie czegoś tam przyrzeczono..."*

• • •

Dyskusja... Mówi wieloletnia pracownica instytucji bankowej:

— *Ludzie się rozdyskutowali. Tylko, że to często nie jest dyskusja, a gadanie jeden przez drugiego. W naszym pokoju biurowym siedzą cztery pracownice. Ja prawie się nie odzywam. Nie dlatego, że nie mam co powiedzieć. Nieraz słyszę opinie nie sprawdzone, nawet śmieszne. Ale gdy tylko próbuję powiedzieć: „słuchajcie, panie, to nie tak, a tak...", jeszcze dobrze nie zacznę, już tamte trzy perorują, nie bardzo słuchając siebie nawzajem. Zupełnie jakby każda słuchała tylko siebie. Żeby dyskutować, trzeba nauczyć się umieć wysłuchiwać innych. Nie potrafimy, i to bardzo często, słuchać innych. Dlaczego? Przyczyn jest wiele. Ale także ta „technologiczna", wynikająca z tego, że dyskusje nie były dyskusjami. Nie mogliśmy nauczyć się słuchać autentycznych głosów, opinii, bo te wyreżyserowane, z góry przygotowane, nie były do słuchania. Stąd i brak kultury dyskutowania, czyli słuchania argumentów i odpowiadania argumentami...*

• • •

Brak szczerej, autentycznej dyskusji powodował, iż uczciwi ludzie wierzyli w mity. Skoro nie byli w stanie otwarcie wypowiedzieć się co myślą o stosunkach w mieście, w zakładzie pracy — mity i półprawdy przyjmowali za prawdy. W Piotrkowie Trybunalskim, jak gdzie indziej, może bardziej, może mniej, również namnożyło się mitów. Bo i tu uciekano przed konfrontacją postaw, opinii.

Piszę: uciekano, jakby już było po wszystkim. A czy miejscowy „Tygodnik Piotrkowski" — podnoszę to z samokrytycyzmem jako członek zespołu redakcyjnego tego periodyku — omawiał w czasie gorących dni lipcowo-sierpniowych, już nawet wrześniowych, istotne wydarzenia kraju, a przede wszystkim województwa? Odpowiedź jest, niestety, negatywna. Przekonywano, że tak działo się z racji... poczucia odpowiedzialności(?). Ludzie mają odmienne zdanie i podzielam ich pogląd, że *były to przejawy zaniechania kunktatorstwa, przysłowiowej „strusiej polityki".*

Nie do zbicia to dowód, że dyskutowania w mieście sejmów Rzeczypospolitej i Trybunału Koronnego (tu do białości dyskutował Modrzewski, Próchnik i wielu innych i dyskutowano z nimi), w całym województwie piotrkowskim trzeba dopiero zacząć się konsekwentnie uczyć, poczynając od budowy atmosfery szczerości i wzajemnego zaufania. Chodzi przecież o powszechną wszystkich obywateli odpowiedzialność. Ta nie stanie się faktem społecznym w rezultacie wymijania i przemilczania.

LUCJAN BOGUSZ

KTO I KOMU PRZESZKADZA?

W 33 numerze „Polityki" z 16 sierpnia 1980 roku ukazał się artykuł Władysława Zawistowskiego pt. „Mafia reporterów". W artykule tym autor zarzucił reporterom, że są panegirystami, literatami usługowymi, że to z winy reporterów społeczeństwo było o tym, o owym nie informowane, a wreszcie, że to **„reporterzy redagujący nasze czasopisma zwyczajnie i po prostu utrącają na swych łamach literaturę"**, że stworzyli imperium reporterskie, gang, mafię i są zakałą polskiego piśmiennictwa. Artykuł Władysława Zawistowskiego wywołałby być może anemiczną dyskusję, ale stało się inaczej dlatego, że uwagę wszystkich od konfliktu literatury z reportażem, konfliktu wymyślonego, pozornego, odwróciły inne wydarzenia. I tak się złożyło, że wyszydzani przez Władysława Zawistowskiego reporterzy gremialnie udali się do Gdańska, Szczecina, Elbląga, Jastrzębia, aby zdać czytelnikom relację z tego, co się tam działo.

Władysław Zawistowski oskarżając reporterów o nie popełnione grzechy, ma przed oczyma dawny, anachroniczny model pracy dziennikarskiej, i zupełnie świadomie podsyca nie istniejący konflikt między literaturą a dziennikarstwem. Skoro nie było miejsca na dyskutowanie o konfliktach rzeczywistych, trzeba było wymyślać konflikty urojone. Autor „Mafii reporterów" nie był w tej żmudnej pracy odosobniony. Skoro nie można było krytykować tych, którzy decyzje podejmowali, krytykowało się więc tych, którzy decyzje te popularyzowali. Robiliśmy to fatalnie. Właśnie w „Kulturze" Henryk Korotyński obszernie omówił wszystkie grzechy naszej prasy, radia telewizji. I nie mam wcale zamiaru bronić byłego modelu propagandy, bo był to model zupełnie nie przystający do rzeczywistości, którego wprowadzanie w życie wyrządziło wiele szkody. Wspominam o tym wszystkim dlatego, że po prostu nie lubię mitów. I bardzo mi się nie podoba, kiedy na miejsce jednego mitu tworzy się następny. A coś takiego właśnie obserwuję.

Kilkakrotnie już miałem okazję usłyszeć „pogląd" o tym że prasa p r z e s z k a d z a. Przepraszam, komu? I dlaczego?

Władysław Zawistowski zarzucił reporterom we wspomnianym artykule „Mafia reporterów", że mają sposób myślenia polityka, ekonomisty, dyrektora. **„...Nasz symboliczny, mafijny reporter, spychający literaturę do klubowego kącika dla amatorów, chce i woli być człowiekiem częściowym, człowiekiem niepełnym, człowiekiem, którego mózg dokładnie odbija zawartość gazetowych szpalt"** — napisał, nie wiedząc, że stwierdzeniami tymi zamyka błędne koło. Bo to uważano, że dziennikarze, a wśród nich reporterzy traktowali ludzi jak „baranów" i oto okazało się, że sami za „baranów" poczytani zostali. Aliści Władysław Zawistowski myli się srodze, zarzucając dziennikarzom że ze wspólnego sposobu myślenia reportera i dyrektora wzięła się ich wzajemna miłość. To też jest mit.

Dziennikarz był miłym gościem w fabryce, instytucji, przedsiębiorstwie, spółdzielni, kiedy odbywała się tam kolejna uroczystość jubileuszowa, kiedy miał zrobić laurkę, napisać o sukcesach. Ale niech tylko dyrektor dowiedział się, że dziennikarza do jego gabinetu sprowadziły potknięcia, niedociągnięcia, błędy zarządzanej przez tegoż dyrektora fabryki czy instytucji, wtedy starał się zrobić wszystko, aby dziennikarz nie dowiedział się prawdy, aby nie mógł swobodnie porozmawiać z ludźmi. Nie przypadkiem przecież kilka lat temu Biuro Polityczne KC PZPR podjęło uchwałę o krytyce i możliwości zbierania informacji, a Rada Ministrów wydała odpowiednie w tej sprawie zarządzenia. Tylko, że były to uchwały, których nikt nie przestrzegał. O tym, co i kto miał mówić dziennikarzowi decydował dyrektor instytucji i to wbrew istniejącym postanowieniom partii i rządu. Jego, na jego podwórku, to nie obowiązywało. Jak więc z tego widać, jeśli między dyrektorami fabryk, hut czy spółdzielni a reporterami istniała miłość, to było to uczucie karłowate i cherlawe, a najczęściej urojone.

Czy to się dziś zmieniło?

Nie. Nadal zdarzają się przypadki, kiedy dyrekcje fabryk i przedsiębiorstw unikają spotkania z dziennikarzami. Nie przypadkiem prezydent miasta Łodzi, Józef Niewiadomski wystosował pismo do podległych Urzędowi Miasta Łodzi instytucji — o czym pisał „Dziennik Popularny" 2 października 1980 roku — w którym to piśmie przypomina, że wszyscy pracownicy tych instytucji m o g ą udzielać dziennikarzowi informacji, jako że do tej pory mogli to robić t y l k o za zgodą swych zwierzchników. Ale jednym pismem nie zmieni się starych nawyków. Niektórym ludziom wygodniej jest nadal nie mieć czasu dla dziennikarza, aby się przypadkiem nie wychylić, nie powiedzieć czegoś, co może narazić człowieka na przykrości. Czasy są trudne, a tak chwalona jedność poglądów okazała się jeszcze jednym mitem.

I właśnie, kiedy rozmawialiśmy o sprawach związanych z trudem zbierania informacji, usłyszałem pogląd, że dzieje się tak dlatego, że dziennikarze p r z e s z k a d z a j ą. Robi się więc różne uniki, utrudnia się dziennikarzowi wejście do fabryki. Nagle okazuje się, że wszyscy są bardzo zajęci, nie mają czasu. Dlaczego tak się postępuje? Ano dlatego, że dyrektorzy boją się — taki właśnie usłyszałem pogląd — że jak ukaże się artykuł o fabryce X, to jej załoga zacznie dyskutować nad tym artykułem i to będzie orzeszkadało w pracy. Z przykrością muszę stwierdzić, że jest to pogląd fałszywy, kolejny mit.

Powszechnie wiadomo, że ludzie dyskutują i będą dyskutowali, bo dzieją się w naszym kraju sprawy, które ich żywo obchodzą. Na ogół jednak dyskutuje się po pracy, lub w czasie przerwy. A przerwy w pracy wynikają często z braku surowca, energii, półfabrykatów. To raz. Dwa — to fakt, że niektórzy nadal sądzą, że jak o czymś się nie napisze, nie powie się o tym w radio, nie pokaże się tego w telewizji, to tego czegoś n i e m a. Sądzą oni bowiem, że rzeczywistość jest tylko taka, jaką chcieliby widzieć, jaką szczątkowo pokazuje prasa, o której niepełnie mówi radio lub pokazuje telewizja. Jeśli więc uniemożliwią pokazanie czegoś lub powiedzenie o czymś, to wydaje się im, że tego nie ma. Tak jest na przykład ze stosunkiem niektórych gazet do sprawy nowych związków zawodowych. Niektóre dyrekcje fabryk czy instytucji jakby się wstydziły faktu, że u nich takie związki powstały. Bo swoje wyobrażenie o rzeczywistości biorą oni za rzeczywistość.

Ale — z drugiej strony — taki stosunek do rzeczywistości nie jest też obcy wielu spośród nas, dziennikarzy. Przywykliśmy już do tego, że wiernie tylko powtarzamy słowa naszych informatorów, że mieliśmy łatwość w bezkonfliktowych kontaktach, kiedy spodziewano się po nas panegiryków i laurek, że nie zadawaliśmy sobie trudu konfrontowania wielu informacji z innymi źródłami, że nie podawaliśmy ich krytycznemu osądowi. Cenzor wewnętrzny, zasiedziały w nas od lat, umocniony na swej pozycji, zmuszający do zastanawiania się z a n i m zasiadło się do maszyny nad tym, czy to p u s z c z ą, okazał się gorszy od cenzora urzędowego. Na tego ostatniego zrzuca się dziś całą winę, pomijając tego pierwszego, własnego, dobrze wyhodowanego i zasiedziałego w naszym wnętrzu.

Ten i ów próbuje nagle usprawiedliwiać się, publikując teksty z nieaktualnymi datami. Ale szuflady są na ogół puste. I nie tylko u dziennikarzy. To też bardzo wygodny mit, te rzekome pełne szuflady bezkompromisowych dzieł.

Prawda jest — niestety — taka, że znacznie łatwiej jest pracować, kiedy jest się sterowanym, kiedy wszystko wiadomo, ktoś za nas podejmuje decyzje, kogoś za te decyzje można obwinić, wykazać w rozmowach na stronie jego pełną głupotę. Ma się wtedy poczucie spokoju, czystości sumienia i braku jakiejkolwiek odpowiedzialności. Trudniej i gorzej pracuje się, kiedy trzeba samemu d e c y d o w a ć i samemu ponosić o d p o w i e d z i a l n o ś ć. Takie jest życie. I ucieczki przed tym nie ma.

A paradoks tej sytuacji polega na tym, że ciż sami, którzy narzekają na niepełną informację, często jej się przeciwstawiają, utrudniają jej zdobycie oraz jej swobodny przepływ — takie to dziś modne określenie. Ale byłbym też mitomanem, gdybym uważał, że od 1 września 1980 roku wszyscy w Polsce radykalnie się zmienili i mamy nagle społeczeństwo aniołów. Na świat trzeba patrzeć realnie. A realizm nakazuje widzieć świat w całej jego złożoności, dialektycznie, z wszelkimi konfliktami, sprzecznościami i różnicami poglądów. Jest to trudne. Ale trzeba się tego uczyć. I im szybbciej się tego nauczymy, tym lepiej będzie dla nas wszystkich.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

DZIEWCZYNA ZE ZNAKIEM ZAPYTANIA

Ciemność. Pojękiwania. Czyżby ten świntuch nie wyłączył magnetofonu? Nagrał bydlak... Ale dlaczego nie słyszałem przedtem muzyki? Powinna być koniecznie muzyka lub raczej śpiew na tle muzyki. Jakaś aria. Z Bizeta, Pucciniego, Bellimiego, Mayerbeera. Powinna być aria, a dopiero potem mógł być zduszony szept i te nieznośne jęki. Muszę wstać i zatrzymać taśmę, bo nie mogę już tego dłużej słuchać. Ale wtedy właśnie odzywa się charakterystyczne, leciutkie, zbliżające się brzęczenie na korytarzu. To termometry. Nie ma, nie było żadnego magnetofonu. Tu jest szpital. Brzęk, brzęk — leciutkie postukiwanie jednego o drugi termometrów, zanurzonych w denaturacie. Jęczy chory w łóżku pod oknem. Jęczy uporczywie, systematycznie, powiedziałbym pracowicie. Błysk światła na sali. Biały fartuch pielęgniarki. Ręka z wyciągniętym termometrem. Zbudzenie kogoś kto jeszcze śpi, kto broni się przed otwarciem oczu na nowy szpitalny dzień. Biały fartuch przesuwa się od łóżka do łóżka. Zwielokrotniony, jednostajny gest: wyciągnięcie ręki, odebranie termometru. Można zabawić się wyobrażając sobie tę scenę jak na filmie — w tempie zwolnionym lub przyspieszonym. Można te proste gesty powtarzać w nieskończoność. Nie. Kończą się łóżka. Pielęgniarka opuszcza salę. Nie wróci już tu dzisiaj. Za pół godziny przyjdzie, ale już inna, jej koleżanka. Ta, która wyszła teraz, będzie w tym czasie w tramwaju lub w autobusie. Albo wmieszana w tłum przechodniów wracać będzie piechotą do domu. Jedynie lekki zapach lizolu, którego nie stłumi żaden inny, ani perfum, ani mydła, zdradzić może, że jest pracownicą szpitala.

Późną jesienią o szóstej nad ranem jest jeszcze ciemno. Więc jest ciemno i tu na sali. Ciemno i cicho. Nie. Nie ma ciszy. Chory, ten na łóżku pod oknem znów rozpoczął swe rytmiczne jęki. Nasila je lub osłabia — makabryczna melodia cierpienia. Na korytarzu odzywa się warkot odkurzacza. Trząskają co pewien czas drzwi windy. Staram się odizolować od natłoku tych dźwięków. Monotonny warkot oddalającego się w tej chwili odkurzacza wprawia mnie w senne majaczenia. Stukam do jakichś drzwi. Tak. Przypominam sobie, to był letni wieczór. Zastukałem do drzwi. Które to było piętro? Trzecie, czwarte? Nieważne. Otworzyła mi kobieta o suchej, ptasiej, ascetycznej twarzy.

— Pan do kogo? — mruknęła niezadowolona. Sowa, która przed chwilą połknęła mysz. Obrzuciła mnie nieufnym, uważnym spojrzeniem.

— W sprawie ogłoszenia — powiedziałem krótko.

— Proszę! — burknęła. Uchyliła drzwi. Na tyle tylko, bym się mógł przecisnąć. Przez moment, już w przedpokoju, zatrzymała wzrok na moich półbutach Były suche Od miesiąca nie spadła ani kropla deszczu. Wskazała ręką kierunek, w którym miałem pójść. Wąskim korytarzem wszedłem do pokoju zapchanego starymi meblami, szafami, bibelotami. Zapach stęchlizny bił w nozdrza.

— To! — wskazała na magnetofon stojący na stoliczku o trzech nóżkach, przykrytym kokieteryjnie barwną serwetką w ludowe wzorki.

— To? — spytałem z rozczarowaniem. — Nie kupię.

Odwróciłem się ku drzwiom.

— Pan nie kupi? — zagrodziła mi drogę. — To dlaczego pan przyszedł?

— Przyszedłem, bo przeczytałem, że ma pani do zaoferowania magnetofon. A to jest...

— Co to jest?

— Trup — powiedziałem i natychmiast pożałowałem tego. Kobieta zbladła.

— Jak pan powiedział? — W jej tonie było tyle smutku i żałości, że wiedziałem już — popełniłem gafę.

— Przepraszam. Oczywiście źle się wyraziłem. Ale...

Jeszcze raz spojrzałem na magnetofon. Podniosłem wieko i położyłem na stół. Szpule z taśmą tkwiły na swoim miejscu. Przekręciłem lewą gałkę aparatu. Po prawej stronie zapaliło się podłużne, zielone światełko, a szpule zaczęły się obracać. Po chwili odezwała się muzyka. Co to było? Zdaje się „Medea". Luigi Cherubini? — spytałem trochę siebie samego, trochę kobiety.

— Nie wiem — odpowiedziała. — To on lubił taką muzykę. Poważną. Same opery. Ale dlaczego pan nie chce kupić tej maszyny.

— Bo to jest „Tonetta". Zdaje się, że nie jestem pierwszy, który nie chce tego magnetofonu?

— Tak. — przyznała niechętnie.

— Bo nie ma do niego części zamiennych. Rozumie pani? Póki nagrywa, to nagrywa. Póki można odtwarzać, to odtwarza, ale gdy coś się popsuje, to koniec. Nikt. Żaden zakład naprawczy nie chce się z tym bawić. Można wtedy całą tę maszynę, jak ją pani nazywa, wyrzucić na śmietnik.

— Szkoda — powiedziała z żalem w głosie, — Taka jeszcze dobra maszyna. Myślałam, że wpadnie mi parę groszy. Wysprzedaję to całe mieszkanie. Wyprowadzam się.

— Widzę, że ma pani stare meble. Pewnie drogo je pani sprzeda. Teraz stare meble są modne.

— E tam. Mało mi dają. Mówią, że nie takie znowu stare, a zjedzone już przez korniki. Myślałam, że chociaż ta maszyna. Oddam ją tanio. Razem z tymi tu — pokazała na pokaźny stos pudełek z taśmami.

— Co na nich jest?

— Muzyka.

— Na wszystkich poważna? Opery?

— Chyba tak. — Nagle powiedziała: „Oddam te taśmy razem z maszyną". Uparcie nazywała „Tonettę" maszyną i trochę mnie to śmieszyło, a trochę, czy ja wiem dlaczego, smuciło.

— Chciałam mu to wszystko oddać — powiedziała — ale mówił, że jeszcze wróci. Wtedy zabiorę ze.

— Więc może jeszcze wróci? — spytałem podejrzliwie.

— Nie wróci. Wypadek samochodowy — wykrztusiła hamując łkanie.

Zapadła nieprzyjemna, napięta cisza. Gdzieś, za oknem zazgrzytał tramwaj. Na ścianie tykał zegar.

— Ile pani chce za to wszystko? — wskazałem magnetofon i stos taśm.

Wymieniła sumę, która nie była wygórowana. Taśmy oddawała mi właściwie za darmo, a wiadomo, że można je zmazywać i nagrywać wielokrotnie. Pomyślałem, że w razie potrzeby zetrę tę dość kiepsko nagrane opery i będę miał do dyspozycji spory zapas taśm.

— Zgoda — powiedziałem. — Oto pieniądze. — Podałem stosik setek. Przeliczyła starannie. Zawinęła magnetofon i taśmy w szary papier.

— Dziękuję. Bardzo dziękuję — powiedziała cicho i jakoś żałośnie.

Wyszedłem, nie wiem czemu, na palcach. Na ulicy owionął mnie chłodny wiatr. Przemknęło mi przez myśl, że może niepotrzebnie wyrzuciłem pieniądze. Magnetofon był niewiele wart, a taśmy? Czy trzeba mi było aż tyle taśm?

* * *

„... osobę raz spotkaną, która czymś się dla nas zaznaczyła, spotykamy jeszcze drugi raz w życiu prędzej czy później. Sprawdza się to zjawisko w każdym przypadku, choć nie wiadomo dlaczego. Ufaj w „siły tajemne" — pisał w „Przekroju" Kamyczek, odpowiadając na list jakiegoś Krzysztofa.

Ufałem w siły tajemne. Nie ujrzałem po raz drugi „osoby raz spotkanej, która czymś się dla nas zaznaczyła".

Teraz leżąc z termometrem pod pachą przypominałem sobie owe wieczory, kiedy to po kupieniu magnetofonu przesłuchiwałem taśmy Kładłem się wieczorami na tapczanie, nie zapalałem światła i słuchałem nieraz ze znudzeniem melodii z najprzeróżniejszych oper. Słuchałem przez ciekawość, czy w którymś miejscu na nagranych taśmach nie natknę się nareszcie na coś ciekawego. A taśm było dużo. Czasem ukołysany melodią zasypiałem i budziłem się w środku nocy lub nad ranem. Zielone światełko magnetofonu żarzyło się tajemniczym blaskiem, a taśmy, które już dawno przestały się obracać, drżały leciutko na szpulach. Co-fałem wtedy taśmę z nagraniem i wieczorem znów musiałem ją odtwarzać. Któregoś dnia, kiedy walczyłem z ogarniającą mnie sennością, wśród cichej muzyki usłyszałem czyjś głośny śmiech, a potem zdanie: „Więc uwierz mi nareszcie, ty niedowiarku. Przecież tłumaczę ci i tłumaczę jak to było".

Zerwałem się nerwowo z tapczana. To był jej głos. Głęboki i dźwięczny jak głos Dalidy. Nacisnąłem kontakt przy nocnej lampce rozglądając się naokoło Nikogo nie było. Głos dochodził od strony magnetofonu, w którym zamilkła muzyka. Teraz usłyszałem, jak mówi mężczyzna:

— Czy mam uwierzyć w te bajeczki?

Odpowiedziała:

— Musisz. Mówiłam ci już. Noc była ciepła. Wymknęłam się.

On: — Przez okno?

Ona: A co? Miałam budzić całe schronisko? Oczywiście, że wyskoczyłam oknem.

On: Goła? Musiałaś wychodzić goła, żeby się wykąpać?

Ona: Ależ dlaczego myślisz, że byłam goła. W kostiumie kąpielowym. Dlaczego mi nie wierzysz? Mówiłam już... Popływałam trochę i wróciłam.

On: Ale nie do naszego pokoju.

Ona: Czy to moja wina, że pomyliłam okna? Tam było chyba z dziesięć okien. Zdawało mi się, że to było właściwe. Więc kiedy wróciłam do pokoju, byłam przecież mokra. Zrzuciłam kostium. I wtedy...

On (z przekąsem): I wtedy właśnie jakiś młodzieniec zapalił światło.

Ona: Jaki tam młodzieniec. To był staruszek.

On: Proszę, proszę...

Wyraźna ironia brzmiała w głosie mężczyzny. Mnie też słuchając tych słów zrobiło się „łyso", mówiąc językiem młodzieżowym. Bowiem to ja zapaliłem wówczas światło. Dialog toczył się tymczasem dalej.

Ona: Jakie masz powody, żeby mi nie wierzyć?

Chwila milczenia, po czym znów głos kobiety:

— Nie przypatrywałam się zresztą dokładniej temu mężczyźnie. Wystraszyłam się i wyskoczyłam oknem, a mój kostium kąpielowy...

On: ...został u tego staruszka. I nie poszłaś, żeby go odebrać.

Ona: Kiedy to miałam zrobić? To ty zarządziłeś niemal natychmiastowy wyjazd. Nie zostaliśmy nawet na śniadaniu.

Nagły wybuch muzyki i to nawet nie operowej, ale jazzowej stłumił dalsze słowa. Po dłuższej chwili posłyszałem, zdaje się, Pucciniego. I dalej była już tylko muzyka, muzyka, muzyka. Przesłuchiwałem taśmy jeszcze przez wiele wieczorów. Nie zawierały już ani słowa. Muzyka, muzyka, muzyka...

Oczekując teraz na przyjście pielęgniarki, która odbierze termometr, wspominając tamte chwile sprzed lat musiałem się ehyba lekko zaśmiać, bo chory z sąsiedniego łóżka spytał mnie: „Panie, co panu? Niedobrze?".

— Ależ nie. Wprost przeciwnie. Tak, wie pan, coś sobie przypomniałem. „Coś sobie przypomniałem" — powtórzyłem w myślach. Przypomniałem sobie i to dokładnie tamta noc nad rzeką. Ta dziewczyna z magnetofonu kłamała. Spotkałem ją w rzece, kiedy płynęła. Nie wiem, czy prawidłowiej byłoby wyrazić się „na rzece", ale rzeczywiście to było w rzece. Noc była ciepła, lipcowa. Nie mogłem zasnąć. Wyszedłem nad wodę. Zrzuciłem ubranie i w slipkach skoczyłem do rzeki. W pewnym momencie ze zdziwieniem zauważyłem, że nie tylko ja się kąpię. Ktoś płynął obok mnie.

— Goń mnie! — posłyszałem kobiecy głos. Pływała ze sprawnością wyczynowej sportsmenki. Próbowałem ją dopędzić, ale choć nieźle na ogół pływałem, dziewczyna była sprawniejsza.

— Niech pani poczeka! — krzyknąłem z zadyszką.

— A po co? — zaśmiała się i zgrabnym łukiem wykręciła ku mnie.

Po chwili wróciliśmy oboje na brzeg. Usiadłem zasapany na ławce. Dziewczyna stała przez chwilę wpatrując się w rzekę, na której kładł się blask księżyca. Miała smukłe nogi, wąską, krótką talię, kształtne piersi. Po chwili wpatrywania się w dal, odwróciła się ku mnie i wolno podeszła do ławki. Usiadła.

— Muszę chwilkę odpocząć. — Miała ładną, miłą twarz. — Zimno — powiedziała po chwili. — Trzeba wracać do schroniska.

— Noc jest ciepła — odezwałem się, żeby nie być mrukiem.

— Tak. Ale mimo wszystko... w mokrym kostiumie.

— Niech się pani wysuszy. Mam ręcznik.

— Niech pan da.

— Mam u mnie w pokoju.

— Dowcipny — powiedziała z ironią.

— Jak pani na imię?

— Czy nie jest pan zbyt ciekawy?

— Jestem z natury ciekawy. — Nudziły mnie te głupie przekomarzania się. Nie było sensu tu dłużej siedzieć. — Wracajmy! — rzekłem krótko, chwytając pod pachę swoje ubranie.

Dziewczyna wstała i skierowała się ku furtce. Gdy byliśmy blisko schroniska powiedziała:

— Nie możemy robić hałasu. Musimy wracać przez okna.

— Oczywiście.

— Dobranoc!

— Dobranoc — odpowiedziałem. Wskoczyła do pokoju przez okno. Ja za nią.

— Czy pan oszalał? — powiedziała szeptem. — Nie jestem sama. Proszę natychmiast wyjść.

On się obudzi. Do licha! Co pan wyprawia. — Nie obudzi się — powiedziałem nie ściszając głosu i lekko pchnąłem dziewczynę na łóżko. — To jest mój pokój.

Ściągnąłem z niej kostium. Broniła się przez chwilę i to nie dość energicznie. Już po chwili przywarliśmy do siebie.

Noce lipcowe są krótkie.

— Teraz już muszę iść — powiedziała, gdy lekko szarzało.

— Byłaś cudowna.

— Hm. Masz dość ubogi słownik. Nie szkodzi. Ty byłeś nie najgorszy. Ojej! Jak ja pójdę. — Trzymała w ręku mokry kostium. — Nie włożę na siebie czegoś tak mokrego. Pa! Wysusz go! Jutro odbiorę.

Kiedy całowała mnie na pożegnanie, zauważyłem na jej szyi srebrny łańcuszek. Dopiero po jej wyjściu znalazłem na poduszce malutki, srebrny znak zapytania. „Dziewczyna ze znakiem zapytania" — tak ją nazwałem i tak nazywałem przez kilka następnych lat, kiedy spodziewałem się, że los mnie z nią zetknie. Na pewno. Choć na jeden raz. Po kilku latach ten głos z magnetofonu. Jej głos. Głos „dziewczyny ze znakiem zapytania". Jeszcze próbowałem ją odszukać. Poszedłem do kobiety, u której kupiłem „Tonettę". Zastałem obcych ludzi. Dokąd wyprowadziła się poprzednia lokatorka? Nie wiedzieli. „Może będzie wiedział dozorca, lub powiedzą w administracji". A gdybym nawet odnalazł ten adres, to czy z tego coś mogło wynikać? Czy dowiedziałbym się o losach „dziewczyny ze znakiem zapytania"? Wróciłem do domu. Jeszcze raz puściłem taśmę z głosem dziewczyny. Potem wsłuchałem się w ten głos wiele razy. I to było wszystko. Minęło kilka lat. Później zachorowałem. „Ej, kiepsko, kiepsko z pana serduszkiem" — orzekli lekarze.

Leżę teraz z termometrem pod pachą. Rozmyślam. Patrzę w ciemność.

— Dzień dobry! Jak się spało? — wyrywa mnie z rozmyślań głos. — Och! Chryste Panie! Przecież to głos... To jej głos. Słyszałem go tylekroć z taśmy. Nie mogę się mylić. Serce zaczyna mi walić. Z trudem unoszę się, żeby zobaczyć pielęgniarkę. Idzie teraz w stronę okna odsuwać zasłony. Potem odwraca się twarzą do sali. Ona.

— No, niechże pan da termometr — mówi nie patrząc na mnie.

— Ja... tu... — usiłuję jej wytłumaczyć, że w szufladzie stolika jest mały srebrny przedmiot. Znak zapytania.

— Znak zapytania... — mówię i język plącze mi się — Znak zapyta...

Chcę usiąść, próbuję się unieść, padam na poduszkę, pochodzi mi do gardła. Ciemnieje mi w oczach, wydaje mi się, że zapadam powoli w mroczniejącą pustkę i tylko słyszę cichnący krzyk: „Doktorze! Natychmiast! Chory na sali numer..."

DANUTA BICZEL-ZAHNIETAWA

CZARODZIEJ

Jance Brylowi

Wiosenną porą,
w słońcu poranka
spotkał mnie swojski czarodziej — Janka.

Bat w ręce.
U nóg w perlistej tęczy —
zroszonej ścieżki pasek.

Posłał za stadkiem
mnie, pastuszkę.
— Pilnuj, nie pogub...
I oto pasę.

I najmniejszej drobinki nie zatracę,
nie dam ni słówka na zgubę
w kły wilcze.

...Wziąwszy mnie za rękę jak dziecko,
wiedzie.
I stadka z oczu nie spuszcza ani na chwilkę.

BARADULNIK

Ryhorowi Baradulinowi

Obiecywał, że stworzy różowy las,
różowy, śmieszny świat,
gdy spłynie lato.

Mijają tygodnie —
a las jest bez zmian.
Kwitną jedynie krzaki róż...
Dzięki choć i za to.

Obiecywał różowe chmurki, cienie,
ścieżki, a ja wierzyłam.
I już!

Oto zorzy dojrzały snop
na wschodzie
w powrośle jasnych snów.

Mgła skryje pole, by zakochani
mogli w pieszczotach rozstać się o brzasku.

Na źdźble słonecznym
rośnie ziemia,
różowa,
jak kwiat baradulnika na piasku.

BARADULNIK — ludowa nazwa zioła, różowo kwitnącego na piaskach.

ROSNĘ

Rosnę,
Rosnę
Na oczach dębów.
Na cichych deszczach
I ognie rosną jak na drożdżach,
Zielone.
Iskierki rosy trzeszczą.
Czemu tak wrona biadoli?
Zrzucę na mech swój lęk.
Biegnę,
lecę —
I tylko patrzeć jak splonę
Na rośnych ogniach.

CIENIOM KOŚCIUSZKI

Mereczowszczyńska
Stara topila
Cieniem daleko wędruje
Przez pola.
O wschodzie słońca
Muśnie łagodnie
Wawelski przybytek snów wiecznych
W Krakowie.
A przed zachodem,
Cichutko pnie się
Na głaz omszały Kościuszki
W Zalesiu.
W południe cieniem
Osłania ugór
W miejscu narodzin
Obrońcy ludu.

RADOŚĆ

Od zielonych traw się oderwałam,
uniesiona przypływem radości.

Nie odbiegłam daleko od chaty,
żeby czasem jej z oczu nie stracić.
I do nieba też nie odskoczyłam,
jak Tierieszkowa Walentyna.

Słyszę: ojciec klepie kosę
nierytmicznie.
Gdzież jego zręczność się podziała?
Po garsteczce za każdym przekosem
rzeka biegnących lat ją zabierała.

Patrzę: matka biegnie przez podwórze.
Lekkości nie straciła.
W dzieciństwie od obojga
latać się nauczyłam.

Nad rolą,
przed mym odlotem,
ręce ojca podrzuciły mnie w górę,
dając jak ptaszkowi rozpęd.
Na tych samych rękach
rosła dziadków mych radość:
wnuczęta.

Obok wsi rodzinnej jest najlepiej.
Niedaleko zajdziesz po mych śladach —
Bez tej wioski nie rozeznasz, nie odbadasz
tajemnicy moich rymowanych skrzydeł.

ZMĘCZENIE I PIEŚŃ

Kosiarze z łąki pieśni
Na ostrzach kos swych nieśli
Do domu,
Przez las
Na przełaj —
Omdlałą,
Z miękkich przekosów
Ostatnią pieśń kwiatów niosą
Wraz ze śmiertelnym zmęczeniem...
Kosiarze pół drogi już przeszli
I wreszcie
W sosnowym lesie
Zmęczenie uległo pieśni.
Odeszło zmęczenie od pieśni
Na sosnach sędziwych osiadło
I w bujnej trawie przepadło.

Przełożył:
MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Wybór wierszy wybitnej poetki białoruskiej, Danuty Biczel-Zahnietawej, ukaże się jeszcze w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

DOJRZAŁY DEBIUT

Niedawno, w Bibliotece Debiutów Wydawnictwa Łódzkiego ukazał się nowy tom wierszy Ludwika Gebla — „Akty". Debiut mocno spóźniony jeśli zważyć, że autor to czterdziestolatek, który pierwsze utwory poetyckie publikował 17 lat temu. Ale zdarzają się i takie dziwolągi wydawnicze, bo znając pojedyncze utwory naszego autora z publikacji prasowych można było spodziewać się jego pierwszej książki co najmniej 10 lat temu.

Ludwik Gebel jest lekarzem psychiatrą, doktoryzował się w tej dziedzinie wiele lat temu i ma za sobą bogate doświadczenia w dziedzinie terapii. Trzeba wspomnieć, że jest on także dramaturgiem, a jego sztukę „Oczy" wystawiono na scenie propozycji. Była ona publikowana także w antologii „Spektrum". Przypomnijmy, że Ludwik Gebel jest także autorem publikowanych w prasie utworów poetyckich i translatorskich, a także esejów. Fakt zaś, że autor jest lekarzem psychiatrą odbił się w istotny sposób na jego poezji. Któż bowiem bardziej niż lekarz, zwłaszcza psychiatra, może dotrzeć do uwarunkowań naszych postaw, zachowań, poczynań? Któż jak on może prześledzić problemy egzystencjonalne jednostki w sytuacjach ekstremalnej alienacji?

I Ludwik Gebel nie zawahał się wykorzystać swych doświadczeń co pozwoliło mu zaprezentować niebanalną problematykę egzystencji i w ten sposób bardzo zbliżył się do autentyzmu. Przy czym trzeba się zastrzec, że nie znajdziemy w tej poezji odkryć psychiatrycznych tchnących sensacją. Mamy natomiast bohatera lirycznego, którego doświadczenia poszerzono do granic nieosiągalnych niekiedy dla wybitnych poetów. I to jest element sytuujący tę poezję wysoko.

Zresztą autor często ukazując sytuację ekstremalnej alienacji używa dialogu mającego duże walory dramaturgiczne, co tę poezję dynamizuje, ale jednocześnie nadaje jej walory filozoficzne. Przy czym Ludwik Gebel nie stara się oceniać postaw bohatera lirycznego, nie odpowiada wprost na pytania, które przed nim stawia. Za tym idzie ascetyczna niekiedy oszczędność słowa, przy zachowaniu pełnej precyzji wypowiedzi. Nie do przecenienia są w tej poezji i inne walory artystyczne. Ludwik Gebel posługuje się metaforą w sposób funkcjonalny, nie nadużywa jej, lecz stosuje tam, gdzie nie może użyć innych środków wyrazu. Częste bywają w tej poezji także przemilczenia, wiele w niej także międzysłowia, jakże wzbogacającego właśnie słowo.

Jest to więc poezja dojrzała, autor prezentuje w niej taki zestaw możliwości artystycznych, które w pełni usatysfakcjonują wybrednego czytelnika.

Warto więc prześledzić postawę bohatera lirycznego, zadać sobie pytanie — kimże on jest?

Najprościej byłoby odpowiedzieć, że jest jednym z nas. Owszem, ale byłaby to odpowiedź niepełna. Bo bohaterem lirycznym bywa tu chory, bywa lekarz, który stara się dotrzeć do źródeł schorzenia i bywa zwykły zjadacz chleba, przechodzień poddany ciśnieniu współczesności, która może go z chwili na chwilę uczynić kimś innym, postawić w każdej chwili w

POEZJA

sytuacji konieczności wyboru. Autor sygnalizuje nam te stany, ukazuje sytuacje, stawia pytania, lecz nie narzuca niczego, nie stara się dawać jednoznacznych odpowiedzi, choć częściej czujemy, że je ma, że wie. Ale każdy z nas wie dla siebie, zaś Ludwik Gebel jest na tyle sceptyczny, że wie, iż nikomu nie wolno narzucać jednoznacznych odpowiedzi, rozwiązań, które mogą odpowiadać autorowi, ale dla czytelnika mogą okazać się niefunkcjonalne. I to jest chyba signum dużej dojrzałości poetyckiej i intelektualnej autora.

Wspomnieliśmy o sceptycyzmie, swoistym relatywiźmie Ludwika Gebla w ukazywaniu postaw bohatera, czy bohaterów lirycznych w różnych sytuacjach, jakie narzuca nam cywilizacja. Czy jest to jednoznaczne z postawą autora? Wydaje się, że to raczej chwyt artystyczny, czy swoista gra intelektualna. Autor bowiem skłania się raczej ku moralistyce, lecz nie ku moralizatorstwu, taniej dydaktyce, którą wyraźnie gardzi. Stąd próba ukazywania względności postaw, czy zachowań człowieka. W sumie bowiem Ludwik Gebel jest romantykiem, romantykiem z wyboru, skoro człowieczeństwo w najtragiczniejszych nawet przejawach stało się wartością, za którą się odpowiada. Zadokumentował to poprzez wybór własny zostając lekarzem, zadokumentował to także w poezji opowiadając się po stronie wartości humanistycznych, jakże zagrożonych przez zwyrodnienia współczesnej cywilizacji, która nie jest w stanie, czy może nie chce realizować tego, co mogłoby stać się wartością niezbywalną dla jednostki.

JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

POŚRÓD NOWOŚCI

PROZA

1

Publikowane w ciągu ostatnich kilku lat na łamach „Życia Warszawy" opowiadania Jana Koprowskiego ukazały się obecnie pod wspólną okładką. Cechą charakterystyczną tego tomu jest wyróżnik tematyczny — wszystkie utwory w mniejszym lub większym stopniu dotyczą Warszawy, jej mieszkańców, urody miasta, czy tylko topograficznych szczegółów. Napisałem przed chwilą: opowiadania, lecz trafniejsze będzie tu chyba określenie: obrazki, zwięzłość bowiem i koncentracja na jednym tylko wydarzeniu czy zjawisku, odtworzenie jakiejś charakterystycznej sytuacji, nadanie opisowi waloru uogólniającego — wszystko to prowokuje do nazwania utworów Koprowskiego zebranych w tomie „Trou Madame" obrazkami rodzajowymi. Ich rodzajowość jest jakby rodem z Artura Oppmana (którego nota bene Koprowski czasem cytuje). Swoista kordialność, sentyment i humor, z jakimi Or-Ot opisywał ongiś Warszawę, pozwalają odnaleźć się w opisach Warszawy współczesnej, dzisiejszej. Prawdę mówiąc Koprowski Warszawy nie opisuje, raczej oddaje atmosferę stolicy, jej niepowtarzalność, jej symboliczną dla Polaków (i nie tylko) rolę. Nie opisuje miasta, lecz opowiada o nim przedstawiając związanych z nim ludzi, i to nie tylko tak zwanych warszawiaków z dziada-pradziada, lecz mieszkańców powojennych, a nawet zagranicznych turystów. Ci ostatni bowiem dysponują szczególną skalą porównawczą (por. np. „Po latach").

Zaletami prozy Jana Koprowskiego są: zwięzłość, dążność do możliwie najprostszego przedstawienia sytuacji, dyskretne puentowanie, wydobywające prawidłowości, którym wszyscy podlegamy i przed którymi jeszcze nikomu nie udało się skryć. Z kart „Trou Madame" przebija prawda o ludziach, jej wydobyciu często służy konfrontacja marzeń z rzeczywistością. Bohaterowie Koprowskiego to ludzie pogodni, choć nierzadko przecież doświadczeni przez życie. Nie poddają się niepowodzeniom, przed którymi ratuje ich zazwyczaj niebagatelne poczucie humoru.

Zamysł takiego właśnie ukazywania rzeczywistości przedstawionej służy porządkowaniu świata, wynika z potrzeby przypominania rzeczy podstawowych, takich jak miłość, patriotyzm, poszanowanie starszych etc. Co nie oznacza wcale, iż autor „Trou Madame" skłania się w stronę moralistyki. Hołduje raczej refleksyjności, zadumie. Nad losem jednostkowym i naszym wspólnym — narodowym.

2

W tym samym czasie co „Trou Madame", w tej samej firmie wydawniczej ukazała się książka Jana Koprowskiego o znanym pisarzu austriackim Józefie Rocie (1894—1939). Wyszła ona w nowej serii „Czytelnika" zatytułowanej: „Klasycy literatury XX wieku", którą redagują Michał Sprusiński i Lech Budrecki. Jest pierwszą w języku polskim monografią autora „Hotelu Savoy".

Józef Roth, przeżywając od kilkunastu lat prawdziwy renesans w krajach niemieckiego obszaru językowego, cieszy się znaczną popularnością i u nas. Był znany i ceniony w Polsce także przed wojną, gdy popularność zjednała mu — oprócz samego dzieła literackiego — nieprzejednana postawa antyhitlerowska oraz przyjaźń z Józefem Wittlinem. Koprowski zafascynowany jest, czego wcale nie skrywa, w jednakim stopniu twórczością, co i życiem Józefa Rotha. Bo też i jedno i drugie godne jest wnikliwej uwagi.

Roth przez całe życie zmagał się z przeciwnościami losu: nie znał swego ojca, walczył z nieuleczalną chorobą żony, pokonywał materialny niedostatek, wpadł w nałóg alkoholizmu, wiódł żywot emigranta. Przede wszystkim jednak pisał, praktycznie realizował łacińską maksymę: nulla dies sine linea. Wracał w twórczości do kraju lat dziecinnych (galicyjska mieścina Brody, w której ujrzał światło dzienne), powracał do lat młodych, dawał wyraz tęsknocie do monarchii austro-węgierskiej, przeciwstawiał się podejrzanym tendencjom politycznym. W odpowiedzi na ankietę dziennika „Pariser Tagblatt" z 1934 roku zawarł pogląd na istotę twórczości literackiej: „Talent i geniusz w żadnym wypadku nie uwalniają od obowiązku walki ze złem. Pisarz, który na przykład obecnie nie walczy przeciwko Hitlerowi i Trzeciej Rzeszy, jest w istocie małym, słabym człowiekiem i zapewne także bezwartościowym pisarzem. Nie ma prawdziwie wartościowego talentu bez następujących właściwości: 1. współczucia dla ludzi uciskanych, 2. miłości do dobra, 3. nienawiści wobec zła, 4. odwagi, aby współczucie dla słabych, miłość do dobra, nienawiść wobec zła, wypowiadać głośno i niedwuznacznie, a więc jasno i wyraźnie. Kto tych właściwości nie posiada i nie ujawnia, jest w rzeczy samej miernym talentem, albo zwykłym fuszerem..." Program ten Roth konsekwentnie wypełniał do końca swego życia.

Dokonana przez Jana Koprowskiego analiza twórczości Józefa Rotha wykazuje wszystkie jej zalety: ideową klarowność, liryzm i humor, a także swoistą tęsknotę za tym, co odeszło, tęsknotę za stabilnością, odpowiedzialnością i poszanowaniem człowieka. Jest to analiza nie tyle krytyczna, co informacyjna — Koprowski chce po prostu możliwie najdokładniej przedstawić autora „Marsza Radetzky'ego" polskiej publiczności czytającej. I trzeba przyznać, że mu się to udaje. Niebagatelną rolę w tej interesującej prezentacji odgrywa styl, na poły eseistyczny, na poły gawędziarski, z poszanowaniem realiów i szczegółów, okraszony dowcipem — taki, jaki pamiętamy ze stałej rubryki „U nas i gdzie indziej", systematycznie publikowanej na łamach „Literatury".

W książce o Rocie nie brakło i ciekawostek. Myślę, że dla czytelników „Odgłosów" najodpowiedniejsza będzie opinia Józefa Rotha o mieszkankach Łodzi anno 1928: „Nieprawdopodobnie eleganckie kobiety. Niektóre wyglądają tak, jakby wprost z paryskich kawiarni przyleciały tutaj samolotem i rozsypano je malowniczo w pejzaż łódzkiego wieczoru".

Monografia Jana Koprowskiego uzupełniona została fragmentami wypowiedzi Józefa Rotha o sobie samym oraz uwagami pisarzy i krytyków o autorze „Krypty kapucynów". Zawiera ona również kalendarz życia i twórczości oraz bibliografię utworów Rotha przetłumaczonych na język polski.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

J. Koprowski, Trou Madame, „Czytelnik". Warszawa 1980, nakład 20 320 egz., s. 149, cena zł 20.—

J. Koprowski, Józef Roth, „Czytelnik", Warszawa 1980, nakład 20 320 egz., s. 110 + 16 nbl, cena zł 30.—

FILM

WOODY ALLEN I JEGO MANHATTAN

Oglądany na polskich ekranach po raz pierwszy w filmie „Manhattan" Woody Allen, jest w światowym kinie postacią znaną i niezwykle popularną. Sądzić należy, że szturmem zdobędzie też naszą publiczność, jako że trudno oprzeć się urokom tego niemłodego, arcybrzydkiego i zachwycającego człowieka.

Spotkanie z Isaakiem Davisem, bohaterem „Manhattanu", ujawnia, jak się zdaje, całą osobowość Woody Allena — aktora, reżysera, pisarza i scenarzysty. Do tych ról wiodła droga poprzez muzykę, kabarety i komediowo-gagowe programy telewizyjne. Tak, jak Isaak Davis, jego alter ego, jest Woody Allen jednocześnie wytworem i współtwórcą specyficznej kultury i obyczaju nowojorskich intelektualistów i ludzi sztuki. Taki przynajmniej swój portret pragnie przekazać w „Manhattanie", filmie, który ukazuje ukochane przez niego miejsce na ziemi. Ów, stale w filmie Allena obecny Manhattan, ujawnia to swoje oblicze, które zatarte zostało przez stereotypy, opisów nowojorskiej metropolii. Opowiadali światowi bywalcy o urokach tego miasta, trzeba było Woody Allena, by w to uwierzyć. Co znaczy siła perswazji, gdy towarzyszy jej pełne miłości spojrzenie na jej przedmiot!

Ta perswazja ma przy tym postać dość niezwykłą. Prowadzona jest na zasadzie luźno i niedbale składanej mozaiki. Jej całość przynosi dopiero niezwykle sugestywny portret miasta i tej części jego mieszkańców, która jest przedmiotem autorskiej obserwacji. I miasto, i ludzie są wytworem amerykańskiej cywilizacji. Ona to stworzyła, zwłaszcza w wieku XX, określone wzorce przechwytywane czy narzucone światu i zagubiła się w specyficznej dla siebie hierarchii wartości. Dotyczy to wielu aspektów społecznego życia. Woody Allen mówi jedynie o tym cywilizacyjnym fenomenie, jakim jest stworzone przez ludzi i ludzi tych determinujące miasto. Jest ono ich szczęściem i ich katastrofą. Neurotyczna atmosfera komedii Allena stan ten oddaje najtrafniej, a siłą motoryczną jest dialog, którego sensów, urody i komizmu opisać po jednorazowym oglądzie filmu nie sposób. Równie ważną funkcję pełni też stricte amerykańska muzyka.

W szaleńczej, komediowej mozaice obrazów, sytuacji i nastrojów „Manhattanu" toczy się także wcale poważny dialog o sztuce i artyście. Sprawia on wrażenie, że uczestniczymy w psychoanalitycznym seansie, w trakcie którego Woody Allen próbuje dotrzeć do prawdy o sobie samym i ludziach wśród których żyje, pragnie stworzyć na swój użytek system wartości pozwalający zachować indywidualizm, pragnie uchronić się od śmieszności, pozerstwa, stereotypowości.

By nie zagubić wszystkich uroków tej dziwnej komedii, wspomnijmy jednakże, że jest to arcyzabawny film o dwóch panach i pięciu paniach, którzy wchodzą przemiennie w przeróżne układy miłosne, powodowani nudą i rozczarowaniem, potrzebą odmiany, ale i intelektualnego partnerstwa, marzeniem i głodem uczuć, zabawą i lękiem przed samotnością. Portrety wszystkich bohaterów tego filmu narysowane są znakomicie. Poza samym Woody Allenem, zachwyca zwłaszcza jego była żona, Diana Keaton w roli Mary i wnuczka wielkiego pisarza, Mariel Hemingway jako Tracy. U boku tych pięknych i rosłych pań, mały, łysiejący, nieurodziwy Woody Allen dowodzi o zwycięstwie ducha nad materią. Zdobywa je inteligencją, humorem, ciepłem i dobrocią, a więc tymi cechami, którymi urzeka wszystkich tych, którzy zachwyceni jednym jego filmem, marzą o następnych.

Czekamy zatem przynajmniej na „Annie Hall", za którą otrzymał w 1978 roku Oscary za scenariusz i reżyserię, a Diana Keaton za główną rolę. Dla zarysowania pełnej sylwetki Allena przypomnijmy, że oprócz gagowych komedii (pono telewidzowie nasi mieli okazję oglądać jego film „Bierz forsę i w nogi") i pastiszy (np. „Wojny i pokoju") jest też autorem dramatów społecznych („Figurant") i psychologicznych („Wnętrze" porównywane z filmami Ingmara Bergmana). Z tych informacji wynika, że komediowa twarz Woody Allena jest jedynie częścią jego bogatej w niuanse osobowości.

EWA NURCZYŃSKA

ANNA — NIE

„Anna-Nie" jest trzecią z kolei powieścią Agustina Gomez Arcosa, pisarza francuskiego hiszpańskiego pochodzenia. Tłem książki jest Hiszpania w okresie dyktatury generała Franco. Anna Pańcha, zwana Anną-Nie, wieśniaczka, po stracie całej rodziny wybiera się w daleką wędrówkę z południa na północ kraju, żeby odwiedzić jedynego żyjącego syna przebywającego w więzieniu. Wędruje pieszo, najczęściej o głodzie, podejmuje się różnych prac by jakoś przetrwać, zdążyć dotrzeć do ukochanego dziecka. Spotyka różnych ludzi, najczęściej równie biednych i nieszczęśliwych jak ona. Poznaje nieznane dotąd prawa rządzące egzystencją ludzką. Uczy się wielu rzeczy które nie były jej dotychczas potrzebne, nauczyła się nawet czytać. Ta ogromna, przerażająca chwilami wędrówka stanowi przejmującą alegorię losu ludzkiego; pełnego trudów, nieszczęść i pracy. Poza tym postać Anny stanowi bodaj jeden z najpiękniejszych portretów kobiecych we współczesnej literaturze Całe życie Anny wypełnione było miłością. Kiedy jej zabrakło nie mogła dłużej żyć. Poszła na zatracenie byleby chociaż na moment odzyskać dawne ciepło i być dla kogoś pociechą. Pozbawiona zupełnie egoizmu, pełna poświęcenia i chęci życia dla kogoś, jest jakby zaprzeczeniem współczesnych kobiet zajętych często własną karierą, własną urodą i chęcią życia bez problemów a z wieloma przyjemnościami.

Gomez Arcos: „Anna-Nie", przekł. Ewa Fiszer, „Czytelnik", W-wa 1980, str. 231, cena zł 26,—

MILIARDERZY

Wielkie fortuny zawsze przyciągały ciekawość ludzką. Ich posiadacze stawali się i stają tematem plotek, anegdot, rozmów. Książka Grzegorza Jaszuńskiego traktująca o posiadaczach milionów i miliardów w USA pozbawiona jest sensacyjności. Zawiera opis życia i działalności rodzin miliarderskich od początków ich bogacenia się aż po czasy współczesne. Za podstawę kryterium zajęcia się tymi rodzinami Jaszuński przyjął wysokość ich dochodów nie mniejszych jednak niż miliard. Tak więc pisze o „dorobieniu się" Rockefellera, Morgana, Du Ponta, Forda, Astora, Kruppa, ostatni rozdział poświęca „nowym" wzbogaconym w ostatnim stuleciu np.: Onassisowi. Na podstawie bogatej dokumentacji autor pokazuje jak powstawały i powstają nadal wielkie fortuny, jak milionerzy bez skrupułów naruszają obowiązujące ustawy, jak wyzyskują swych robotników, zwalczają konkurencję i podporządkowują sobie prezydentów, ustawodawców i sędziów. I chociaż jak pisałem wyżej książka pozbawiona jest sensacyjności w dosłownym znaczeniu tego słowa, to nie brak jej fragmentów, opisujących autentyczne wydarzenia, a które czyta się jak doskonały kryminał czy powieść fantastyczną.

Z nazwiskami niektórych miliarderów łączą się także często sensacyjne wydarzenia polityczne np. w pałacu angielskich Astorów spotykali się członkowie „kliki z Cliveden", którzy nawoływali do ugody z Hitlerem. W tym samym pałacu poznali się minister Profumo i piękna Krystyna Keeler, co doprowadziło do upadku rządu brytyjskiego. Nie mniej barwne są postacie drugoplanowe: amerykańscy Mellonowie, francuscy i angielscy Rothschildowie, John Paul Getty czy Onassis.

Książka interesująca, chętnie czytana, czego najlepszym dowodem jej powtórne wydanie i natychmiastowe zniknięcie z księgarń. Pisana na podstawie dokumentów i z doskonałą znajomością ekonomii, może być jeszcze jednym przyczynkiem do lepszego zrozumienia praw rządzących gospodarką kapitalistyczną.

Grzegorz Jaszuński: „Miliarderzy", „Czytelnik", W-wa 1980, str. 389, cena zł 60,—

WYBÓR KOMEDII

Włodzimierz Perzyński. W tej chwili najbardziej znane i grywane są jego trzy komedie, właśnie te zamieszczone w tym tomie. Dodać tu jednak należy pewne zastrzeżenia: „Aszantka", w zasadzie nie jest komedią, a nazywamy ją tak siłą rozpędu. Inne utwory Perzyńskiego są w tej chwili zbyt anachroniczne żeby je wystawiać czy nawet czytać. Odnieść to można również do „Aszantki", która jest zwietrzałą pozycją i przypomina nieco swoją atmosferą „Damę Kameliową" Dumasa. Sztuki Perzyńskiego są świetnym materiałem aktorskim, w każdej z nich są doskonałe zarówno role kobiece jak i męskie. Perzyński doskonale czuje teatr. Jego utwory cechuje mocno zwarta struktura, dialog, który nie ma miejsc pustych i świetnie zarysowane postacie. Nic więc dziwnego, że i popularność sceniczna „Lekkomyślnej siostry" i „Szczęścia Frania" nie słabnie właściwie od momentu ich premier. Bardziej kapryśnie ułożyły się losy „Aszantki" co nie oznacza, że została ona zapomniana. Historie teatrów odnotowały kilka udanych adaptacji tej komedii.

Tematyka utworów Perzyńskiego jest bardzo zróżnicowana. Pokazuje wszystkie środowiska, od mieszczańskiego aż po cyganerię artystyczną. Z tym, że Perzyński w odróżnieniu od innych dramaturgów tego okresu nie opowiada się po żadnej stronie, nie ufa ani filistrom ani artystom, dla niego są to tylko dwie różne maski tej samej twarzy. Często pokazywał teatr od wewnątrz. Oglądani z tej pozycji aktorzy mają wszystkie wady filistrów i prawie żadnych zalet. Wszystkie komedie Perzyńskiego to portrety obyczajowe i studia psychologiczne, wyjątkiem może być „Polityka", która jest komedią polityczną mówiącą o aktualiach pierwszych miesięcy polskiej państwowości. Natomiast już wszystkie bez wyjątku utwory oparte są na poetyce naturalizmu, głębokiej znajomości realiów świata, który opisują.

Niniejsza pozycja zawiera trzy komedie Perzyńskiego, te najbardziej znane i chętnie wystawiane. Ich redakcja oparta jest na ostatnim wydaniu tych utworów za życia autora. Autorem opracowania i solidnego wstępu jest Lesław Eustachiewicz.

Włodzimierz Perzyński: „Wybór komedii", oprac. Lesław Eustachiewicz, Biblioteka Narodowa, Wrocław 1980, str. 378, cena zł 40,—

LEWYM OKIEM

O GWIZDACH NA STADIONIE

Od wielu lat mówiło się o potrzebie krytyki. Wszyscy o tym mówili: obywatele, władze, czynniki takie i inne, literaci i prasa. Nie wszyscy natomiast pozostawali przy tym w stanie tak zwanej „dobrej wiary". Jest takie pojęcie w nauce o zobowiązaniach: kiedy ktoś zobowiązuje się do czegoś w umowie (bo umowa to zasadniczy akt normatywny w kodeksie zobowiązań), a w tej samej chwili wie, że umowy nie dotrzyma, to podpisuje się „w złej wierze" i w miarę możliwości udowodnienia mu tej złej wiary — może i powinien być za to ukarany.

No więc w złej i dobrej wierze wszyscy od lat mówili o potrzebie, a nawet o konieczności krytyki. Aż oto nastał okres, kiedy głosy krytyczne znalazły poczesne miejsce we wszystkich środkach masowego przekazu, przy czym ostrze krytyki nie jest już starannie a wiążąco ukierunkowywane, jak to się nieraz zdarzało.

To świetnie, że krytyka przemówiła pełnym, czystym i szczerym głosem. Miejmy nadzieję — co już pisałem w poprzednim felietonie — że ten głos nie wyczerpie się negliżowaniem spraw z przeszłości, że będzie słyszalny także w odniesieniu do życia bieżącego, do rzeczywistości stającej się dziś, jutro i co dzień. No i niech to będzie głos rzetelny, sumienny, uargumentowany.

Szanowna moja koleżanka z tej samej strony „Odgłosów", red. Bogda Madej, pisze tak: „Na krytykę (dotyczącą spraw sportowych — przyp. mój) nie było żadnej reakcji. A była to nie tylko krytyka wyrażana przez dziennikarzy. Proszę sobie przypomnieć te gwizdy i okrzyki, jakie rozlegały się na wielu stadionach. To też była krytyka sportowej działalności klubów. I co? I nic."

I pisze red. Madej tak: „Jeśli więc coś ma się w sporcie zmienić, a wierzę że się zmieni, to przede wszystkim musi nastąpić zmiana stosunku do opinii publicznej, która wyraża opinię kibiców".

Otóż pragnę powiedzieć, że gwizdów na stadionie nie uznaję za krytykę działalności klumów sportowych i że nie życzę sobie absolutnie, żeby zostały uznane za głos opinii publicznej.

Na stadionie gwiżdże się wtedy, kiedy sędzia zarządzi rzut karny na niekorzyść „własnej" drużyny, a bije się brawo wtedy, kiedy ma to być strzał korzystny. Słuszność orzeczenia sędziowskiego nie ma przy tym żadnego znaczenia. Tym bardziej nie ma tu żadnego znaczenia działalność klubów. Interpretując „sprawę gwizdów" rozszerzająco, trzeba by chyba powiedzieć tak: wyrażenie emocjonalnego, osobistego stosunku do jakiegoś doraźnego, incydentalnego zdarzenia nie jest (i nie wolno dopuścić, żeby było!) tym samym, co sumienna, odpowiedzialna ocena ani tego zdarzenia, ani tym bardziej — całego ogromnego splotu zdarzeń generalnych, z których dany incydent mógł wyniknąć.

Uczepiłem się akurat zdania, zaczerpniętego z felietonu sportowego, ale chodzi mi o sprawę nie całkiem błahą: strzeżmy się przeceniania gwizdów i krzyków! Strzeżmy się brać wrzaski podnieconego tłumu za czyjąkolwiek opinię i w ogóle za coś więcej niż półświadomy wrzask. Psychologia tłumu wie dobrze, że bardzo łatwo jest tłum podniecić choćby najgłupszą i najbardziej niesłuszną sprawą, a także — że przejawy tego podniecenia są właśnie półświadome i po opadnięciu emocji ludzie nieraz ich się wstydzą. Gwizd to nie opinia publiczna! Pomylenie tych pojęć sprawiłoby znów lawinę pomyłek, błędów, nieporozumień i nieszczęść. Czy red. Madej nie wie, że ten sam tłum temu samemu człowiekowi raz skanduje sto lat, raz gwiżdże na palcach?

Krytykujmy spokojnie, bez ekscytacji. Działalność klubów sportowych też możemy oceniać najróżniej, nie odwołując się do ryków, nagranych na meczu Polska — Malta.

ĆWIEK

SPORT

„DZIECKO W KĄPIELI"

Piłkarze RTS Widzew znów zrobili nam miłą niespodziankę, eliminując z pucharowych rozgrywek angielski zespół Manchester United i awansując do drugiej rundy rozgrywek. Gratulacje dla Widzewa, obchodzącego akurat 70 lat swej działalności! I życzenia, aby w drukiej rundzie piłkarze RTS Widzew nie zawiedli! W lidze krajowej też im idzie dobrze, co może wskazywać, że drużyna pozbierała się i w tym roku sięgnie po tytuł mistrza Polski. Oby tak było. Ale i tak robotnicy widzewskich fabryk protestowali przeciw dotacjom na RTS Widzew. Podobnie jak załoga ZPB im. J. Marchlewskiego.

Miałam okazję zapoznać się z pełnym brzmieniem wniosków załogi „Poltexu". Jeden wniosek był aż do przesady lapidarny: „Znieść dotację na ŁKS". Drugi już bardziej rozbudowany: „Zrezygnować z patronatu nad klubem sportowym ŁKS. Zdjąć z etatów sportowców oraz załatwić sprawę sportu pseudoamatorskiego a także znieść dotację na ŁKS i zrewidować zarobki sportowców". Jak widać z tego cytatu sprawa jest bardziej złożona. A właściwie spraw tu jest kilka. Może więc zajmijmy się nimi po kolei.

ŁKS jest klubem przyzakładowym i dlatego ZPB im. J. Marchlewskiego przekazują klubowi dotacje oraz — i to jest najbardziej istotne — utrzymują jego majątek trwały. Na przykład stadion ŁKS znajduje się na stanie majątkowym „Poltexu". Natomiast dotację na klub zakład otrzymuje z MPL. Poza tym na listach płac fabryki figurują zawodnicy ŁKS. I to jest jedna sprawa.

Druga sprawa — to wątpliwe amatorstwo naszego sportu oraz legendy na temat zarobków sportowców. Piszę — legendy, gdyż dokładnie nikt nie wie, jak to jest. I dlatego ze wszech miar wydaje się słuszne, aby sprawa ta stała się jawna i wreszcie uporządkowana.

Takich postulatów, jak w ZPB im. J. Marchlewskiego, było więcej. Gazety publikowały relację PAP na ten temat. Ukazało się też wiele komentarzy, opublikowano listy czytelników. Ale sprawa warunków funkcjonowania naszego sportu pojawiła się już dawniej. Wiele się na ten temat pisało. Tylko, że był to przysłowiowy groch rzucany o przysłowiową ścianę. Nikt się tym nie przejmował, nikt się z faktami nie liczył. A fakt był, choćby taki, że piłkarze którzy występowali w mistrzostwach świata nie mogli grać w turnieju olimpijskim. Problem naszego piłkarstwa amatorskiego został już poddany w wątpliwość.

Mamy jednak taki system finansowania sportu jaki mamy. System ten od lat budzi wątpliwość. Teraz ludzie tę wątpliwość wyrazili głośno, zaprotestowali przeciw takiemu systemowi i ogłosili to w formie postulatu. Coś z tym trzeba będzie zrobić. Ale co?

W rzeczywistości pieniądze są te same, tyle tylko, że bierze się je z różnych kas. A gdyby tak zlikwidować fikcje? Gdyby kasa była jedna, a kwoty jawne, wydobyte na światło dzienne, łatwe do skontrolowania, czy nie oczyściłoby to atmosfery wokół sportu? Jestem przekonana, że tak. Czy w przypadku ŁKS pieniądze z MPL muszą iść przez kasy ZPB im. J. Marchlewskiego? Czy nie mogą iść prosto do kasy ŁKS? Czy pieniądze wydawane przez tę samą fabrykę na utrzymanie majątku trwałego ŁKS nie mogą płynąć bezpośrednio do kasy ŁKS? Czy klub nie może się tym sam zajmować? Odpowiedzi na te pytania wydadają się proste. Trzeba tylko podjąć odpowiednie decyzje.

Nie we wszystkich przypadkach sprawa jest taka prosta. W Mielcu na przykład wprowadzono przymus dobrowolnego opodatkowania się na rzecz Stali Mielec. Załoga WSK w Mielcu częściowo wycofała się z tego opodatkowania, rozumiejąc, że skoro jest dobrowolny, to oni mają prawo nie płacić. Wtedy fabryka zastosowała prosty szantaż: nie będziesz płacił, nie będziesz awansował, nie dostaniesz miejsca w żłobku dla dziecka, albo w przedszkolu, z wczasami będziesz miał kłopoty. I ludzie się łamali.

Nie jestem przeciwna istnieniu klubów przyzakładowych. Dla małych klubów jest to jedyne wyjście. Ale duże kluby muszą się usamodzielnić. Tak mi się wydaje. Nie widzę innego wyjścia. Zresztą pisałam już o tym kilka razy. I nadal zdanie swoje podtrzymuję. Chciałabym jednak, aby przy okazji reformowania różnych dziedzin życia, nie wylano dziecka razem z kąpielą, co się nam już parę razy w takich sytuacjach zdarzało. Chodzi mi o to, że sport nasz — mimo różnych załamań i trudności — osiągnął pewien poziom i trzeba szukać takich dróg wyjścia, aby sytuację w sporcie naprawić i strat nie ponieść. W różnych publikacjach na temat uzdrawiania sportu zaczyna robić się mętlik. Oto na przykład Rezerwowy: J. S. w „Literaturze" wzywa do „przepędzenia sportu wyczynowego i jego emisariuszy z terenu szkoły". Ma to pomóc w poprawie poziomu wychowania fizycznego w szkołach. Dla mnie natomiast są to dwie różne sprawy.

W każdym razie: szukajmy dróg uzdrowienia sportu, wołajmy o poprawę wychowania fizycznego w szkole, dyskutujmy, ale pamiętajmy, żeby przy tym wszystkim nie wylać dziecka razem z kąpielą.

BOGDA MADEJ

TELEWIZJA

PYTANIA

Przecież wiedzieliśmy, że „telewizja nie była instytucją udzielającą odpowiedzi". Nie imały się jej krytyki ani zarzuty formułowane przez publicystów. Owszem, jak przypomina teraz prasa, raz taką odpowiedź usłyszeliśmy od dyrektora Janusza Roiickiego i wiceprezesa Edmunda Patyka. Chodziło wówczas o interpelację poselską podczas obrad sejmowej Komisji Kultury i Sztuki, dotyczącą kosztów produkcji serialu „Życie na gorąco". Wyjaśnienie było wykrętne i po prostu mijało się z prawdą. Piszę o tym fakcie nie po to, aby wypominać prominentom TvP ich przeszłość. Nad jej analizą pracuje cały sztab ludzi, którzy — jak sądzę — działalność TvP należycie rozliczą. Tu chciałbym zadać kilka pytań, które towarzyszą, teraz i przedtem, wszystkim telewidzom oglądającym codzienny program.

Po pierwsze, kto właściwie odpowiada za kształt artystyczny i ideowy telewizji? Czy autor audycji, którego nazwisko figuruje w czołówce? Czy też zespół redakcji naczelnej, a może jej szef? Kto weryfikuje te programy? A może istnieje jakaś rada programowa? Jeśli tak, to kto wchodzi w jej skład i przez kogo jest powoływana? Czy są to ludzie związani etatowo z telewizją, czy takoż specjaliści z zewnątrz? Czy jedyną formą dialogu z widzami są listy, które do tv nadchodzą? Kto je czyta? Co z postulatami widzów się dzieje? Pomijam w tym miejscu wszelkie „Anteny", „Studia Bis", „Przeboje tygodnia" (ach, ten szczebiotliwy blond-dziubdziuś!) i „Koncerty życzeń" bo to pozór tylko i nic więcej. Nie o taki przecież sposób kształtowania programu przez widzów tu idzie.

Po drugie, czy TvP jest instytucją niezależną, lub podległą, na przykład, Radzie Ministrów, czy też w decyzjach programowych ma swój udział — inny przykład — Ministerstwo Kultury i Sztuki, może stowarzyszenia i związki twórcze pisarzy, plastyków, kompozytorów?

Po trzecie, jak wygląda administracyjny i programowy nadzór Redakcji Naczelnych z Woronicza i ich wpływ na formułę programów lokalnych? Kto ocenia inicjatywy ośrodków regionalnych TvP i jakie mają one możliwości autentycznego i inspirującego kształtowania programu ogólnopolskiego? Zastanawiam się nad tą kwestią w zestawieniu z aktualnymi dyskusjami na temat przepływu informacji, drożności jej kanałów itd. Ktoś z publicystów zapytał w tym kontekście czy Polska jest jedna czy też stanowi federację 49 województw. Rozwinę to pytanie: czy informacja jest jedna, czy też rozbita na 49 podinformacji dawkowanych wedle potrzeb chwili? Kto zatem te potrzeby ustala?

Powyższe pytania nie zrodziła bezinteresowna ciekawość, kierowana demagogią. Nie jest to takoż z mojej strony pogoń za tanią sensacją (o to teraz łatwo). Rzecz w tym, aby to co oglądamy codziennie miało jasny i klarowny sens, aby program tv nie był tajemną grą z prostaczkiem, który strawi wszystko. Mówi się, że „mechanizmy średniego szczebla" (pisze o nich w poprzednim numerze „Odgłosów" Jacek Indelak na przykładzie Skierniewic, kliniczny przykład z Płocka przedstawia Michał Bołtryk w ostatniej „Literaturze") uległy poważnemu zatarciu. Rozszerzając tę diagnozę można powiedzieć, że wyślizgane trybiki TvP również nie potrafią przestawić się na inny bieg. I tak nie bacząc na zakręt sunie ten mechanizm dalej prosto, a jego mechanicy nie słyszą ostrzeżeń.

Jaka jest sytuacja (ograniczam się tu do tej jednej, przykładowej sprawy) związków zawodowych tych starych, rewaloryzowanych pośpiesznie i tych nowych wiemy z autopsji. Rozmawia i dyskutuje się na ten temat w każdym zakładzie pracy. Czy tv usiłowała w tych dyskusjach uczestniczyć szerzej, czy przedstawiała pełny zakres informacji, czy pomagała rozeznać się w owej gmatwaninie niewiedzy, pytań, krytyk i ćwierćprawd? Zakładowe dyskusje o ruchu związkowym wciąż wykazują, jak mało o nim wiemy, choć do związków zawodowych należeliśmy latami. Redaktorzy tv (może z wyjątkiem redakcji młodzieżowej) co chwila ocykają się poniewczasie stymulowani jak się zdaje dopiero przez bardziej operatywną i śmiałą publicystykę prasową. I tak dalej, i tak dalej.

Napisałem to wszystko po to, aby za kilka lat nie trzeba było powtarzać słów, które usłyszeliśmy w ostatnią sobotę wieczorem: „Duże szkody wyrządziła tak zwana propaganda sukcesu, szczególnie natarczywie uprawiana w telewizji. Jej jednostronność rozmijała się ze zdrowym rozsądkiem (...) Od czasu, gdy sukcesów było coraz mniej, propaganda taka obiektywnie rzecz biorąc przeciwstawiała społeczeństwo partii, pogłębiając kryzys zaufania i wywołując niewiarę nawet w racjonalne argumenty".

GRZEGORZ GAZDA

1/3 mini magazynek

OGŁOSZENIA DROBNE

UNIWERSALNY zestaw plotek i pomówień tanio odstąpię. Oferty: „Ekspert".

JAK się szybko przestawić? Metodą ekspresową naucza emerytowany działacz.

MASAŻYSTY poszukuję do naderwanych mięśni. Oferty: „Bijący się w piersi"

GWARANTOWANY środek do wywabiania plam. Listy, oferty i zaliczki w dolarach, pod „Czyste ręce".

UCZCIWE, spółdzielcze M-2 zamienię na skompromitowaną willę. Oferty pod „Naiwny".

HASŁO NUMERU: Nie zasłaniaj się myśleniem!

Gdzie jest ten skarb?

W dostępnym niemal wyłącznie spod lady „Expressie Reporterów" ukazał się reportaż Konrada Turowskiego, zatytułowany intrygującym pytaniem: „Gdzie jest skarb". Kolejny w tej serii KAW-owskiej reportaż tego autora, dotyczy sensacyjnej, choć prawie w Łodzi nieznanej, historii olbrzymiego majątku pewnej łodzianki, która żyła w skrajnej biedzie, a nawet korzystała z pomocy opieki społecznej. Szacowany na wiele milionów skarb składający się z kamieni szlachetnych, biżuterii i waluty zagranicznej ujawniono przypadkowo, gdy ciężko chorą właścicielkę zabrano do szpitala, a jedna z najbliższych sąsiadek sprzątała jej mieszkanie. Na czas choroby majątek zabezpieczono pod nadzorem prokuratury w skarbcu bankowym. Gdy właścicielka wyszła ze szpitala, odebrała go w całości. Po kilku miesiącach majętna kobieta znów zachorowała i wkrótce zmarła, skarb zaginął bez śladu...

Konrad Turowski zwierzył się „1/3", że nie traci nadziei na odnalezienie fortuny. Jego reportaż zainteresował jasnowidzów i psychotroników, którzy obiecują zbadać sprawę i... odpowiedzieć na postawione w tytule pytanie. Turowski postanowił przeznaczyć na poszukiwania wysokie honorarium, które otrzymał z KAW, opisując nieprawdopodobną historię skarbu, pracowicie wytropioną na podstawie nekrologu, jaki w jednej z łódzkich gazet zamieścili sąsiedzi zmarłej milionerki. Niewiele ryzykuję — zapewnił nas skromnie Konrad Turowski — bo jeśli poszukiwania zakończą się fiaskiem, to i tak opiszę je w następnym reportażu, za który przecież otrzymam honorarium...

Ciekawe, co zrobi Turowski, jeśli wszystkie swoje pieniądze wyda na poszukiwania, a skarb... odnajdzie zupełnie kto inny?...

P.ESYMISTKA

Rys. Andrzej Adamowicz

Trener kadry narodowej piłkarzy — Ryszard Kulesza jest zadowolony z siebie. Zadowolenie to przekazał Krzysztofowi Wągrodzkiemu, który go zapytał: — „Znaczy to, że trener — mimo porażek — nie czuje się przegrany..." — „Nie, jestem zadowolony" — powiedział na to Ryszard Kulesza. I ma rację. Grunt do dobre samopoczucie.

Mając dobre samopoczucie trener Ryszard Kulesza spokojnie patrzy w przyszłość. Nie boi się meczów, jakie nasza kadra ma rozegrać jeszcze z Hiszpanią, Argentyną i Algierią. A później razem z piłkarzami wybiera się do Palermo.

Dlaczego?

Ze sportu

SAMOPOCZUCIE

„Jest to decyzja przemyślana. Byłem kilka razy w Instytucie Hydro-Meteorologicznym, szukałem miejsca, które miałoby taki sam klimat, jak na Malcie. Pracownicy instytutu bardzo nam pomogli, ich zdaniem taki sam klimat jest we włoskiej miejscowości Palermo..."

I właśnie dlatego piłkarze pojadą na zgrupowanie do Palermo!

A niech jadą!

Mamy jednak wątpliwości, czy to im się na coś zda. Jeśli bowiem błędów w swojej grze nie usuną w Polsce, to na nic zgrupowanie w Palermo.

K.I.Bic

Z prasy:

CORAZ WIĘCEJ ODWAŻNYCH

Ostatnio do grona odważnych dołączył felietonista tygodnika „Piłka Nożna", Krzysztof Mętrak. Pochwalił on RTS „Widzew" za „dobry (choć również szczęśliwy) występ" na stadionie Old Trafford, ale też zganił działaczy Widzewa za „głęboko szkodliwą działalność". Nie jesteśmy przeciwni krytyce, bardzo ją popieramy, nawet wówczas, kiedy krytykuje się — jak to mówi Jan Ciszewski — klub z dalekiego przedmieścia Łodzi, ale jednocześnie jesteśmy za obiektywizmem. I dlatego nie bardzo rozumiemy, dlaczego winę za „głęboko szkodliwą działalność" mają ponosić tylko działacze sportowi Widzewa, skoro różne brzydkie wpadki zdarzały się też w innych klubach chronionych przez różne instancje, instytucje, urzędy. Za peryferyjnym klubem z robotniczego Widzewa w Łodzi nie stoją wielcy potentaci. I dlatego dziękujemy za taką odwagę i obiektywizm.

TEMATY TYGODNIA

Sieradzki tygodnik „Nad Wartą" za temat tygodnia uznał artykuł opublikowany na sportowej kolumnie: „Trenerzy zakładają swój związek". Czy tylko trenerzy? — chciałoby się zapytać. Z łamów „Nad Wartą" wynika, że w Sieradzu nikt nie zakłada nowych związków. Tygodnik wszakże zszedł „między lud" i przyniósł „Reportaż ze żłobka". Maluchy będą tym zachwycone. Ktoś wreszcie o nich napisał.

Gratulacje dla Babci!

Z wielką satysfakcją donosimy PT Czytelnikom, że w naszym zespole mamy pierwszą babcię. Została nią nasza korektorka, Krystyna Sardecka. Gratulacje dla Babci oraz najlepsze życzenia dla wnuczka Piotrusia. Babcia i wnuczek czują się dobrze.

PT Czytelników prosimy więc o wyrozumiałość, jeśli w ostatnich numerach znaleźliby jakieś błędy korektorskie.

„1/3"

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201045-139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2244. G-2.